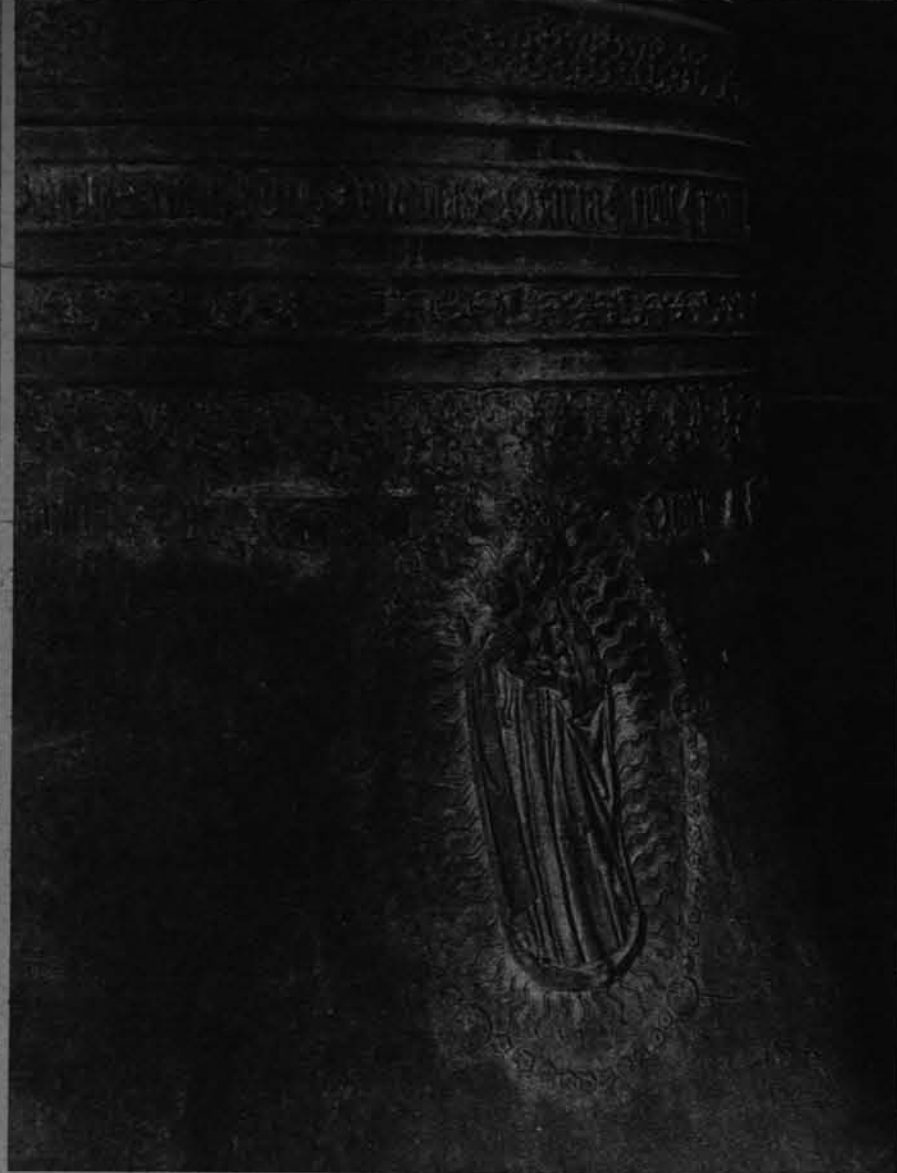


ziemia

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY





D Z WO N Y

FELICJA
I MARIAN
KORNECCY



„BOGU NAJLEPSZEMU I NAJWIĘKSZEMU I DZIEWICY BOGARODZICY, ŚWIĘTYM PATRONOM SWOIM, ZNAKOMITY ZYGMUNT, KRÓL POLSKI, TEN DZWON GODNY WIELKOŚCI UMYŚŁU I CZYNÓW SWOICH KAZAŁ WYKONAĆ ROKU PAŃSKIEGO 1520” — głosi łaciński napis na „Zygmuncie” — największym i najślawniejszym polskim dzwonie, ważącym 8 ton, odlanym w Krakowie przez Jana Behama. Dzwon ten należy do największych osiągnięć dawnego ludwisarstwa, a jego czas powstania przypada na okres najświetniejszego rozwoju tej sztuki w Polsce. W tym czasie dzwony były już bardzo rozpowszechnione i mimo, iż nie zachowały się na terenie kraju zabytki wcześniejsze niż z wieku XIV, jest rzeczą pewną, iż dzwonów używano w naszych kościołach znacznie wcześniej. Wiek XV i XVI przynosi ożywioną działalność ludwisarską w Polsce. Z tego czasu zachowało się stosunkowo wiele zabytków, głównie jednak dzieł anonimowych. Różne jednak dokumenty, a rzadziej napisy na dzwonach przekazują nam nazwiska pierwszych znanych sławnych ludwisarzy, do których w wieku XV zaliczamy np. Janów Weygla i Freudentala w Krakowie, czy Gerta Benninga w Gdańsku. Dzwony z tego okresu wykazują często cechy wspólnego warsztatu i ich pochodzenie da się niejednokrotnie ustalić; zaś od XVI wieku, wobec powszechnej praktyki umieszczenia podpisów wprost na odlewie, ludwisarstwo ostatecznie przestało być sztuką anonimową. Warsztaty odlewnicze w takich środowiskach, jak Kraków, Gdańsk czy Wrocław rozwijają się na dużą skalę, często przez kilka pokoleń pozostając w rękach tego samego rodu. I tak, sławę zyskują m. in. w Gdańsku w wieku XV i XVI Benningowie, w XVII i XVIII Wittwerckowie. We Wrocławiu w XVII i XVIII wieku działają Getzowie, w XVIII i XIX Kriegerowie. Również środowiska pomniejszych, jak Lublin czy Przemyśl posiadały w różnych okresach własne aktywnie działające ludwisarnie, a wiele dzwonów odlali wędrowni odlewnicy bezpośrednio w miejscu ich przeznaczenia.

U góry: odlew gipsowy plakiety z dzwona w Ruszczy (początek XV w.)
U góry po prawej: Fragment dekoracji dzwona „mariackiego” w Trzebiatowie nad Regą. Dzwon ten odlał w r. 1315 ludwisarz Lutke Rose. Należy do największych i najpiękniejszych w Polsce. Poniżej: Dzwonnica w Harkabuzie na Orawie.

Po prawej kolejno od góry:
Napis romański majuskułą na dzwonie w Ruszczy.
Napis gotycki minuskułą na dzwonie z 1448 r. w Libuszy, pow. Gorlice.
Napis renesansową majuskułą na dzwonie z 1545 r. w Bliznem, pow. Brzozów.

O + R A X + G L O R I A +

Annos domini millesimo cccc lxxviii

ADMIRABILE EST 1745

ziemia

PRZEPRASZAMY

naszych czytelników za opóźnienie w ukazaniu się niniejszego numeru, chociaż nastąpiło ono z przyczyn całkowicie od redakcji niezależnych.

ZAWIADAMIAMY

że poczynając od bieżącego numeru wydawcą ZIEMI jest Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze.

F. I M. KORNECCY
 ZYGMUNT BROCKI
 CZESŁAW PISKORSKI
 MŁYNY
 JERZY LOHMANN
 ANDRZEJ ŁASZCZYŃSKI
 JANUSZ BOGDANOWSKI
 MARIA ALEXANDROWICZ
 JANUSZ KAMOCCI
 ELŻBIETA JASIEWICZOWA
 ORLI LOT
 TADEUSZ CHRZANOWSKI
 DAWNE POCZTY
 KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ
 ZOFIA STAMIROWSKA

Dzwony... 2
 Bitwa która przyspieszyła koniec wojny 5
 Szczecińskie rezerwy 6
 O potrzebie tradycji 7
 Beskidzka pustynia 9
 Obejęte ręce 10
 Kujawski szlak... 12
 Turystom idącym na Słowację 14
 Figurka konia z Wolina 15
 Lubomierz 22
 Geografia językowa 30

NASZA OKŁADKA

przedstawia zabytkowy dzwon z r. 1514 w Ujanowicach pow. Limanowa. Fot. Marian Kornecki



ziemia

— Ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO. Przedwodniczący Komitet Redakcyjny — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, sekr. red. — MACIEJ KUCZYŃSKI, red. działów — LESZEK DZIEGIEL i MARIAN KORNECKI, red. techniczny — ZYGMUNT STRYCHAŁSKI. Adres redakcji — Kraków, Basztowa 5, tel. 541-44. Wydawca: POLSKIE TOWARZYSTWO TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE, Realizacja: PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE. Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 596-76, Zauł. Nr. 143/58. DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE.

Liczby na mapie oznaczają numery stron, na których piszemy o danej okolicy



PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100024) oraz Oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych.

Państwowe Wydawnictwo Naukowe, W-wa, Krakowskie Przedm. 79 przyjmuje wpłaty DO 25 KAZDEGO MIESIĄCA na miesiąc następny i dalsze. Konto PKO dla wpłat 1-6-100214. Cena prenumeraty (zarówno „Ruchu” jak i PWN) kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ

Czytelnicy posiadający krewnych i znajomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w PKWZ „Ruch”, W-wa, ul. Wilcza 46, nr

konto PKO 1-6-100024. Cena tej prenumeraty — kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84 zł.

POPRIEDNIE NUMERY ZIEMI

można nabywać we Wzorcowni Państwowego Wydawnictwa Naukowego w Warszawie, Miodowa 10, a także w sklepach prasy antykwarycznej „Ruchu” w Warszawie, przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie pod tymi adresami lub w centrall „Ruchu” w W-wie, Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej

ROZCZNIKI ZIEMI

za rok 1957 można nabywać w redakcji, Kraków, Basztowa 6, lub zamawiać listownie pod tym adresem. Wysyłka w kolejności zgłoszeń za pobraniem pocztowym. Cena rocznika ozdobnie oprawnego 100 zł + porto, nieoprawnego — 60 zł + porto.

ZA GRANICĄ

zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Ars Polona”, zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI” i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — dol. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii — £ 0,2,3, rocznie 1.8,9; we Francji — Fr. 105, rocznie 1380, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — £ A 0,2,7, rocznie 1. 10,7. Cena egzemplarzy archiwalnych jest wyższa o 10%.

Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSRR — w „miestskich i gorodskich Otdielach Sojuzpieczati” NRD — Zeltungsver-

triebsamt II C, Berlin NW, Clara Zetkin str. 62; Czechosłowacja — 1) Melantrich, Abt. I, Auhl. Presse, Praha XVI, V. Hugo 4, 2) PZKO Knihkupecvi Karvina II/Doly tr. Cslow. Armady, 3) PZKO C. Tešin Gotvaldova 15; Anglia — Cracovia Book Company, 58 Pembroke Rd. London W 8; Australia — 1) Current Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd, Melbourne; Israel — 1) „Sifriat Poalim” Workers Book-Guild (Hasomer Hatzair) Ltd, Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526, 2) „Haifepac”, Haifa, Arlosorov St. 11 Nordan St. 15 P.O.B. 1794, 3) „Lepac”, Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrena Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonais en France, Paris VIII-ème, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Littéraire et Artistique Parisienne, 7, rue Debelleye, Paris III-e; USA — Dolphin Service, 441 Bellevue Drive, Falls Church 1, Virginia.

DZWONY



U góry: Dzwon w Książniku, pow. Morąg, odlany w Elblągu w roku 1711 ludwisarz Jerzy Heintze.



U dołu: Dzwon z Medyki, pow. Przemysł, został w roku 1752 odlany w Gdańsku przez ludwisarza Anthonyego.



Piękny głos dzwonu i jego pożądany ton osiąga się nadając mu odpowiedni kształt i grubość ścian. Uzyskanie więc właściwej formy, rezultat długich doświadczeń, było przez średniowiecznych mistrzów strzeżone jako ścisła tajemnica zawodowa. Sam przebieg zaś procesu odlewniczego był już rzeczą stosunkowo prostą.

Aby uzyskać glinianą formę służącą do odlania dzwonu, wykopywano dół, w którym w oparciu o ścisłe obliczenia wykonywano „wnętrze” dzwonu, kształtując szablonem jego wewnętrzną i zewnętrzną powłokę. Formę taką po wypaleniu napełniano roztopionym metalem, składającym się z odpowiedniego stosunku miedzi i cyny (przeważnie 4 części miedzi na 1 część cyny). Po zastygnięciu stopu przy wydobyciu dzwonu forma ulegała zniszczeniu.

Ludwisarze, a również niewątpliwie i fundatorzy dzwonów — przywiązywali dużą wagę do ich zdobnictwa. Składały się na to przede wszystkim napisy i ornamenty, a także przedstawienia figuralne i heraldyczne. Dekorację taką wykonywano bądź ręcznie, bądź przy użyciu posiadanych form i płaskorzeźb, umieszczając je negatywnie na wewnętrznej stronie pokrywającej odlew części formy i uzyskując pod odlaniem czytelny, wypukły pozytywny. Oczywiście w miarę umiejętności odlewnika, jak też i gatunku materiału, dekoracja ta udawała się lepiej lub gorzej, świadcząc o jakości i „czystości” odlewu. Zdobienie dzwonów nie było wyłącznym dziełem ludwisarzy, którzy postugiwali się formami otrzymanymi od rzeźbiarzy; teksty napisów układali często duchowni czy świeccy fundatorzy. Skomplikowane postępowanie przy przygotowywaniu napisów, przy częstej nieznanomości łąciny u odlewników, było przyczyną powstawania w wielu wypadkach błędnych napisów, wynikających z mylnego zestawienia liter, ich odwrócenia, czy nawet braku potrzebnych czcionek.

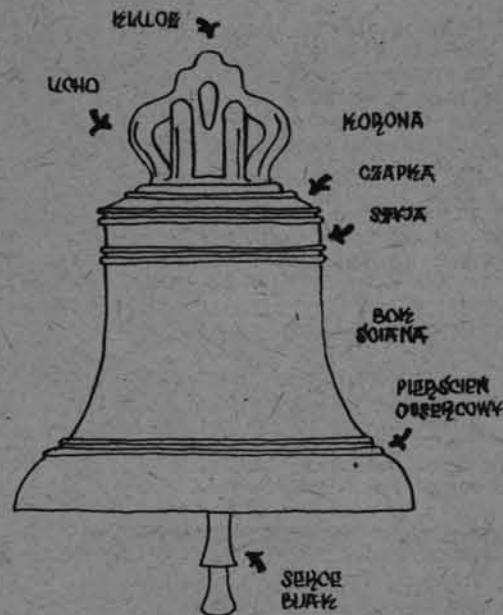
Z chwilą ostatecznego ustalenia się kształtu dzwonu, który właściwie od wieku XV przetrwał prawie niezmienny do obecnych czasów — sprawa ornamentyki z punktu widzenia naukowego nabrała szczególnego znaczenia nie tylko ze względów artystycznych, lecz historycznych, obyczajowych itd. Najdawniejsze dzwony polskie posiadają inskrypcje łacińskie, których teksty zestawione są z liter majuskułowych, w swym charakterze jeszcze romańskich. Ale już od połowy XV wieku pojawiają się napisy wykonane gotycką minuskułą, znacznie trudniejszą obecnie do odczytania z uwagi na różną jakość odlewów. Z kolei, przed połową XVI wieku, w napisach zastosowano renesansową majuskułę; w tym też okresie, obok tekstów łacińskich i niemieckich pojawiają się inskrypcje w języku polskim. W późniejszym okresie, mimo praktykowanej obfitości napisów, na staranność i charakter liternictwa zwracano mniejszą uwagę. Równolegle obserwujemy rozwój stylowy ornamentyki, a także przedstawień figuralnych, odzwierciedlających dalekie echa przeobrażeń stylowych charakterystycznych dla rzeźby.

Jest rzeczą znaną, a zarazem paradoksalną, że dzwony, w swej istocie przeznaczone do religijnego kultu — z uwagi na zawieranie atrakcyjnych, cennych metali — padały od wieków ofiarą rekwizycji na cele wojenne, przetwarzane na działa, często przez te same warsztaty odlewnicze. Ten stan rzeczy trwa i w naszym wieku, czego Polska doświadczyła za czasów żyjącego pokolenia dwukrotnie w czasie obu wojen światowych. Straty w tej dziedzinie były tym bardziej dotkliwe, że w obu wypadkach rekwizycji dokonywały obce, wrogie wojska. I tak, władze niemieckie zarekwirowały większość dzwonów z XVII i XVIII wieku na terenie prawie całej Polski. Dzwony z tego okresu, posiadające najczęściej napisy w języku polskim, były szczególnie zawzięcie niszczone, niezależnie od samej chęci zdobycia potrzebnego na sprzęt wojenny metalu. W wielu wypadkach oszczędzono natomiast dzwony średniowieczne, nie tyle nawet z uwagi na ich wiek i wysoką wartość zabytkową, lecz jako rzekome dowody Niemczyzny ziem polskich. W wyniku więc obu ostatnich wojen, stan posiadania dzwonów zabytkowych jest bardziej opłakany, niż to się wydaje, wobec braku aktualnych, nowych publikacji na ten temat. I tutaj dopiero ostateczne ukończenie inwentaryzacji zabytków w Polsce — co nie nastąpi jednak w najbliższych latach — podsumuje ostatecznie straty i stan posiadania. Wbrew powszechnemu mniemaniu, nawet obecnie zdarzają się stosunkowo dość często wypadki przetwarzania starych zabytkowych dzwonów. Czyni się to pod pretekstem „zestrojenia” z innymi, nowymi dzwonami, czy choćby niemożności bieżącego użytkowania dzwonów uszkodzonych, które zresztą w wielu wypadkach mogłyby być fachowo naprawione!

Dzwony trudno jest „zwiedzać”. Zawieszane wysoko na wieżach i dzwonnicach, bardzo często niedostępnych, kryją jeszcze na pewno niejedną zagadkę, niejeden nie odczytany napis, mogący rzucić snop światła na tak mało znane dzieje sztuki odlewnictwa w Polsce.

Ogólne opracowania dotyczące odlewnictwa dzwonów Polsce zawierają m. in.:

1. K. Gierdziejewski, Zarys dziejów odlewnictwa polskiego, Katowice 1954.
2. T. Szydłowski, Dzwony starodawne, Kraków 1922.



Chociaż wiadomości o dzwonach sięgają starożytności — były one znane w Egipcie, Grecji i Rzymie — główne zastosowanie znajdują dopiero w kuldzie chrześcijańskiej. Odlew pierwszego dzwonu miał jakoby wykonać w V wieku Paweł, biskup w Noli w Kampanii (stąd też wywodzą się łacińskie nazwy dzwonów „nola” czy „campana”), gdzie znajdować się miały odpowiednie do celów odlewnictwa pokłady surowca. Faktem jest, że już w VII i VIII wieku na zachodzie Europy dzwony silnie się rozpowszechniły. Od VIII wieku datuje się też zwyczaj uroczystego poświęcania dzwonów, nadawania im imion i nazw.

Techniczny rozwój dzwonu osiąga poziom doskonałości w XV wieku, szczytowy zaś rezultat w zakresie melodyjnego zestawiania zespołów kilku dzwonów przypada na wiek XVII, w czym celuje zwłaszcza ludwisarstwo holenderskie. Największy tego rodzaju zespół, złożony z 26 dzwonów, odlany został w 1645 roku przez Lotaryńczyka Hemonyego, uważanego za jednego z najświetniejszych odlewników owych czasów.

Poszczególne miasta i kościoły rywalizowały dawniej w istnym wyścigu o posiadanie większych i wspanialszych dzwonów, których produkcja pochłaniała masy metali. Ich waga była niejednokrotnie imponująca; i tak dzwon katedry kolońskiej ważył około 26 ton, w Ołomuńcu 20, u św. Szczepana w Wiedniu 19,8, w Paryżu 16 i 12,8, w Erfurcie 11,5 t. (ciężary te podawane są zresztą w różnych wzmiankach niejednakowo). Papież Pius VI funduje w r. 1786 dzwon do kościoła św. Piotra w Rzymie o wadze ponad 15 ton, ozdobiony postaciami dwunastu Apostołów.

Największym jednak na świecie jest sławny dzwon „Car Kołokol” w Moskwie, ważący około 200 ton, odlany w 1653 r., przelany kilkakrotnie, ostatnio w 1735 r. Nie wiadomo napewno, czy wogóle kiedykolwiek go używano, gdyż już w 1737 r. spadł w czasie pożaru i nigdy więcej nie został zawieszony. Obecnie znajduje się na Kremlu w Moskwie, ustawiony na granitowym cokole. Przed pożarem w 1812 roku Moskwa posiadała miała jakoby ponad 1700 dzwonów na swych wieżach.

Wśród dzwonów-olbrzymów poczesne miejsce zajmowały dzwony chińskie, z których największy ważył ponad 100 ton. Ich kształt był jednak odmienny od dzwonów europejskich. Ciekawe, że nie posiadały one serc. Zastępowały je osobno zawieszona belki drewniane. Były to więc raczej ogromne gongi.

ZYGMUNT BROCKI BITWA KTÓRA PRZYSPIESZYŁA

Mimo zwycięstwa, jakie w 1462 roku odniósł nad Krzyżakami pod Święcinem Piotr Dunin na czele wojsk królewskich, w rękach Zakonu pozostały nadwiślańskie zamki, utrudniając niepomniernie wszelką żeglugę. Tak więc po zniesieniu ruchomej armii krzyżackiej, Dunin przystąpił do zdobywania terenu.

27 lipca 1463 roku rozpoczął oblężenie Gniewu, ważnej i silnej fortecy położonej u ujścia Wieżycy do Wisły. Polacy otoczyli ją zarówno od strony lądu, jak i od strony Wisły, mając do pomocy uzbrojone statki rzeczne przesłane przez Gdańsk. Dzięki nim przecięto komunikację twierdzy z prawym brzegiem rzeki i zamknięto przystań gniewską. Sytuacja przedstawiała się więc dla Krzyżaków groźnie.

Wielki mistrz, Ludwik von Erlichshausen, postanowił spieszyć Gniewowi z odsieczą. Jego flotylla z Królewca miała wpłynąć Zalewem Wiślanym na Szkarpawę i posuwając się następnie głównym korytem Wisły dotrzeć pod Gniew. Krótszą drogą z Zalewu, Nogatem, wówczas już Krzyżacy przejść nie mogli, bowiem od czerwca 1457 roku Malbork był w rękach polskich.

8 września pod dowództwem samego wielkiego mistrza flota 44 okrętów wpłynęła na Szkarpawę, mając na pokładach 1500 żołnierzy i znaczne zapasy żywności dla oblężonych. Następnego dnia zbliżyła się do miejsca,

w którym Szkarpawa odgałęzia się od głównego nurtu Wisły i tu, koło wsi Kiezmarm, zastąpiła jej drogę flotylla 10 statków gdańskich. Jeden z nich gdańszczanie ustawili w poprzek rzeki, wybudowali na nim fortyfikację ziemną i za nią umieścili strzelców. Ufortyfikowany statek tarasował Szkarpawę, a w pewnym oddaleniu, na Wiśle, czyhała reszta flotylli gdańskiej. Krzyżacy nie mogli więc wykorzystać swej przewagi liczebnej i ogniowej. Nie mogli też dokonać desantu, bo uniemożliwiała go bagniste brzegi wiślanej odnozi.

W tej sytuacji wielki mistrz nie zdecydował się na atak, postanowił natomiast czekać na przybycie posiłków ze Starogardu, pod dowództwem Bernarda Szumborskiego, czeskiego wodza w służbie Zakonu.

Po kilku dniach takiego postoju, 13 września, wielki mistrz nie doczekawszy się połączenia z oddziałami Szumborskiego, cofnął się na Zalew Wiślanym w rejon ujścia Szkarpawy, i tu, koło Tujska, zakotwiczył okręty na noc (Tujsk leży dziś w głębi lądu, delta Wisły bowiem przez wieki zaledowała leżące w rejonie ujścia Szkarpawy obszary wód Zalewu Wiślanego). 14 września wielki mistrz ze swą flotą przesunął się jeszcze bardziej w głąb Zalewu i stanął mniej więcej na wysokości ujścia Nogatu.

Flotylla gdańska, pod dowództwem kapra Wincetego Stolle, posuwała się w ślad za Krzyżakami i tegoż dnia również wpłynęła na zalew Wiślanym. Równocześnie z Elbląga przeciw okrętom zakonnym wyszła flotylla kaperska tego miasta. Przeciwno 44 okrętom krzyżackim stanęło teraz 25 okrętów połączonej floty gdańsko-elbląskiej.

Tego samego dnia, a więc 14 września, rozpoczęły się drobne potyczki, pierwsze działania nękające: pojedyncze statki zbliżały się do siebie i zasypywały się strzałami, następnie cofały się, unikając abordażu, tj. szczypania się burtami i walki wręcz. Pod osłoną nocy natomiast połączone floty całkowicie okrążyły flotę krzyżacką. Dążące jej z pomocą z Królewca trzy statki pochwycili gdańszczanie.

Rankiem 15 września flota gdańsko-elbląska uderzyła ze wszystkich stron na Krzyżaków. Nastąpiło abordażowanie i walki wręcz. Na pokładach okrętów gdańskich walczyli wojska królewskie, zaciężni polscy (Długosz zapisał: „sed Gdanesium classe, in quam milites regi“). Uderzenie było tak siłne, że Krzyżacy go nie wytrzymali. Ogarnął ich popłoch i wiele załóg w pośpiechu zaczęło opuszczać okręty. Szybko na przykład zrezygnował z walki duży, silnie ufortyfikowany statek z 200 pancernymi pod wodzą Komtura z Balgi, Flacha: załoga uciekła na łodziach na ląd — jego bliskość dawała możliwość ucieczki, a na wybrzeżu nie było wojsk polskich. Flota krzyżacka starała się rozproszyć i ująć z pola walki, lecz okręty gdańskie i elbląskie przypierały ją do brzegu. Część okrętów osiadła na mieliźnie, inne opuściła załoga.

Bitwa zakończyła się całkowitym zwycięstwem strony polskiej.

Do niewoli wzięto ponad 500 jeńców. W ręce zwycięzców dostały się wszystkie okręty, a wraz z nimi uzbrojenie i zaopatrzenie, które flota krzyżacka wiozła dla oblężonego Gniewu. Flota Zakonu przestała istnieć.

Bitwa stała się przełomowym momentem w Wojnie Trzynastoletniej: przyspieszyła jej koniec, przyspieszyła zwycięstwo Polski nad Zakonem. Już w niespełna dwa miesiące później poddał się Polsce Szumborski, zwątpiwszy w możliwość wygranej Krzyżaków. W końcu grudnia tego



Zygmunt Brocki, 35-letni historyk i lingwista z Gdańska. Redaktor wydawnictw Instytutu Morskiego, autor szeregu prac naukowych i popularnonaukowych z dziedziny historii techniki, gospodarki i terminologii morskiej.

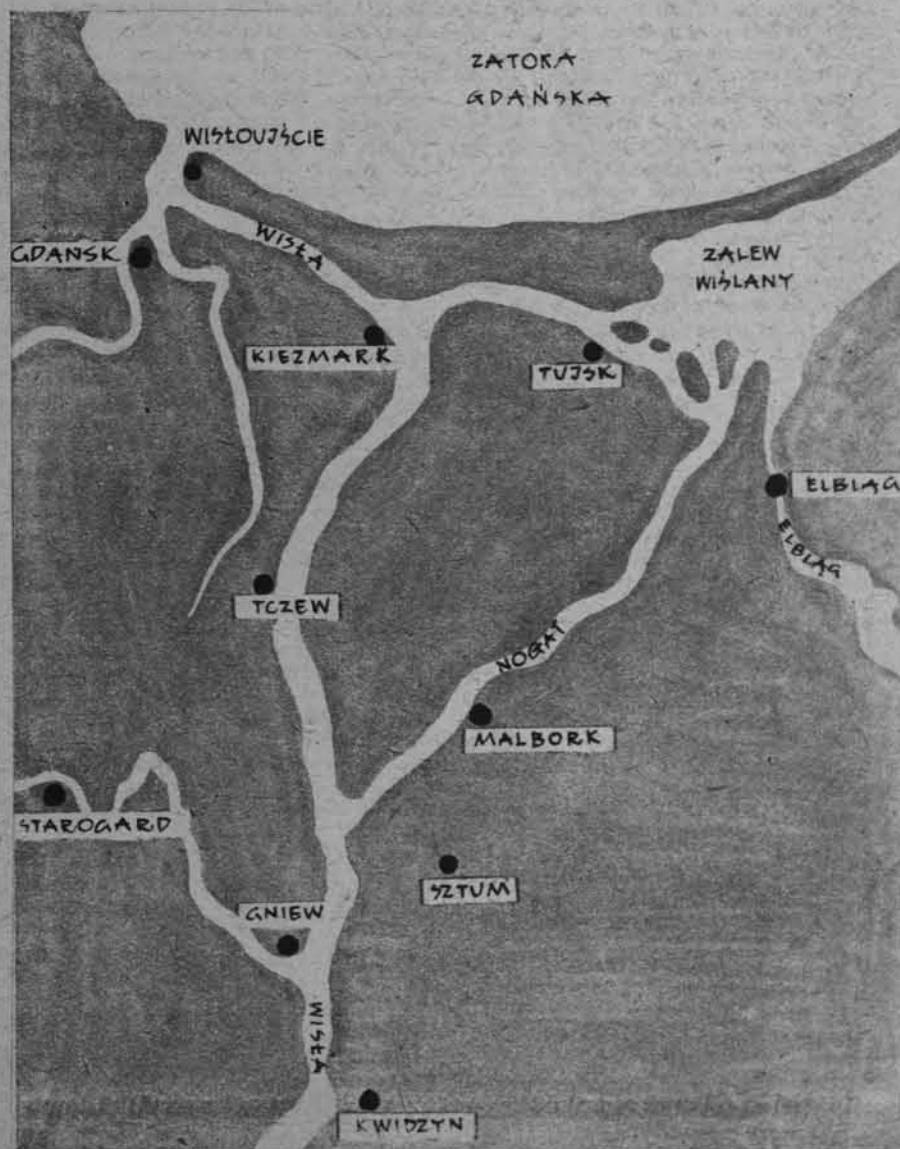
KONIEC WOJNY TRZYNASTOLETniej



roku skapitulował Gniew, nie doczekawszy się odsieczy. Krzyżacy pozbawieni floty nie mogli otrzymywać posiłków nawet z pobliskich Inflant, od tamtejszego Zakonu, gdyż kapier gdański, Jakub Vochs (w opisaną bitwę walczył on jako kapier Elbląga) i dowódca polskich zaciężnych, Jan Skalski, panowali na Zalewie Wiślanym, zamykali dostęp z Zalewu na Pregołę, a więc do portu w Królewcu. W następnym zaś roku zagarnęli idący do Kłajpedy transport 11 okrętów duńskich z kontrabandą, pomocą dla Krzyżaków. W czerwcu 1464 roku Polacy zdobywają Puck, następnie Dunin zdobywa nadwiślańską twierdzę Nowe i 28 lipca rozpoczyna oblężenie Chojnic, ostatniej placówki krzyżackiej na Pomorzu Nadwiślańskim. 21 września Chojnice kapitulują, co ostatecznie zakończyło działania wojenne. Wielki mistrz rozpoczyna rokowania, które 19 października 1466 zakończyły się podpisaniem w Toruniu pokoju, kończącego Wojnę Trzynastoletnią, a jednocześnie przeszło 150-letnie walki Polski z Zakonem o odzyskanie Pomorza.

Gdańska flota kaperska pozostawała pod zwierzchnią, nadrzędną opieką króla Kazimierza Jagiellończyka — król bowiem w wielkim przywileju dla Gdańska z 15 maja 1457 roku zlecając radzie gdańskiej sprawy morskie i żeglugi pozostawił sobie nad nimi zwierzchni nadzór i opiekę. Były tedy owe okręty polską flotą wojenną. Król zalecił w swoim imieniu radzie gdańskiej wystawienie listów kaperskich i działalność kaprów popierał swym autorytetem.

W Wojnie Trzynastoletniej flota gdańska działała zarówno na pełnym morzu, walcząc np. z okrętami sprzymierzonej z Zakonem Danii, jak i na Zalewie Wiślanym oraz na Wiśle. Król, doceniając znaczenie działań lądowo-wodnych, niejednokrotnie wciągał statki gdańskie do akcji wojennych w rejonie Wisły, na ich pokładach osadzając też polskich żołnierzy zaciężnych. Już w lipcu 1457 roku podczas oblężenia Gniewu przez wojska Kazimierza gdańska flotylla rzeczna blokowała miasto od strony Wisły. W czerwcu 1458 roku komendant Malborka, Scibor z Ponieca, wezwał radę gdańską do wysłania flotylli na Wisłę w celu uniemożliwienia planowego ataku Krzyżaków z Chojnic. W czerwcu 1461 roku król ponownie wzywa radę, aby przysłała statki dla przyspieszenia odzyskania Święcia. W tymże roku statki gdańskie i elbląskie w porozumieniu z Janem Skalskim, dowodzącym wówczas wojskami polskimi we Fromborku, operowały na zalewie Wiślanym. Latem 1462 roku, gdy Krzyżacy oblegali Frombork, król w sierpniu wezwał Gdańsk do dostarczenia odsieczy w porozumieniu z Duninem i Skalskim. Wówczas, po połączeniu się z okrętami elbląskimi i zaciężnymi polskimi, którzy znaleźli się na pokładzie statków, urządzono wyprawę na Półwysep Sambijski. Wreszcie w roku 1463, o czym piszemy poniżej, flota gdańska operowała na Wiśle i Szkarpawie podczas oblężenia Gniewu przez Dunina. Stoczona następnie bitwa na Zalewie Wiślanym była ukoronowaniem tych wspólnych lądowo-wodnych operacji.



FOT. RYSZARD GRADZIŃSKI



Obfitość wód i lasów oraz charakterystyczne ukształtowanie terenu miasta Szczecina i jego okolicy sprawiają, iż znajdują się tutaj liczne rezerваты przyrody.

Rezerwatem w znaczeniu geologicznym i florystycznym jest najwyższy punkt płaskowzgórza warszewskiego, którego wierzchołek wznosi się do wysokości 131 m n.p.m. Rezerwat Warszewo — taką bowiem nosi on nazwę — to morena pozostawiona tutaj przez lodowiec podczas jego wycofania się z ziemi pomorskiej ku północy. Płaskowzgórza pokrywają lasy bukowe i mieszane, zaś w okolicy znajdują się także piękne jary, powstałe w wyniku erozji wód i opadów atmosferycznych.

Kilka ważnych rejonów chronionych przed zniszczeniem znajduje się także nad jeziorem Dąbie. Znaleźć tu można rzadkie stanowiska roślin, oraz liczne tereny lęgowe ptaków. Należy zaznaczyć, iż właśnie przez okolice Szczecina wiodą dwie ważne drogi ptasich wędrówek: jedna wiodąca brzegiem Bałtyku ku zachodowi, a druga doliną Odry ku Dunajowi. Przy ujściu Odry szlaki te krzyżują się, ptactwo występuje tu więc w szczególnie dużych ilościach.

W r. 1922 przyrodnik-amator Paweł Robień wyszukał w południowej partii jeziora Dąbie niewielką wyspę Mienię (zwaną obecnie także wyspą Mętna); odkrywając tu szczególnie liczne miejsca lęgowe ptaków, założył na wyspie stację ornitologiczną. Do dziś dnia na wyspie Mienię lęgną się mewy-śmieszki, perkozy, bąki, kulik wielki, kaczki, trzcze, mewy srebrzyste i inne gatunki ptaków. Przelotnie przebywają tam także łabędzie krzykliwe, nury, dzikie gęsi; czasem nad wyspą i okolicznymi wodami ukazują się orły — birkuty (bielik), zwane też ortami morskimi, kormorany, sokoły i myszolowy.

Niejednokrotnie rybacy obserwują walkę między wielkimi ptakami np. między orłem i łabędziem, a bywało, że rybacy ratowali ranne łabędzie. Ważnym zbiorowiskiem ptactwa wodnego są również tereny Międzyodrza, położone na południe od Szczecina, jednakże miejsca rezerwatowe nie zostały tam jeszcze wytypowane.

Godnym uwagi w okolicy Szczecina rejonem są także Góry Bukowe, wspaniałe wzniesienie morenowe, zwieńczone Górą Bukową sięgającą wysokości 147 m. Jest ono ciekawe pod względem geologicznym, zawiera pokłady licznych surowców, m. in. kredy, która była tu kiedyś wydobywana systemem odkrywkowym. Pozostałością po dawnej kopalni jest Szmaragdowe Jezioro; intensywnie zielona barwa jego wód jest prawdopodobnie wynikiem specyficznego załamania się promieni słonecznych i być może uwarunkowana jest istnieniem kredowego podłoża. W głębi Gór Bukowych polscy naukowcy wyodrębnili kilka partii szczególnie charakterystycznego lasu bukowego na obszarze nadleśnictwa Rozdoły: rejonu te zostały wydzielone w rezerваты przyrody.

I wreszcie dwa ostatnie, bardzo ciekawe zespoły: „rezerwat Sekwoja” i osada Binowo. Rezerwat Sekwoja założony został przed około 100 laty w kotlinie na północ od osady Glinne. Rośnie tu kilkadziesiąt rzadkich drzew egzotycznych, w tym, jedna w Polsce sekwoja. Ojczyzną sekwoji, zwanej także drzewem mamutowym — jest Kalifornia, gdzie niektóre osobniki tego gatunku dochodzą do 120 m wysokości i kilkunastu metrów obwodu pnia; żyją one podobno 3—5 tysięcy lat. Sekwoja w Glinnej ma „tylko” 30 m wysokości. Rezerwat Sekwoja nie jest związany z ojczystym krajobrazem — ale może właśnie przez swoją egzotykę zasługuje na uwagę i opiekę.

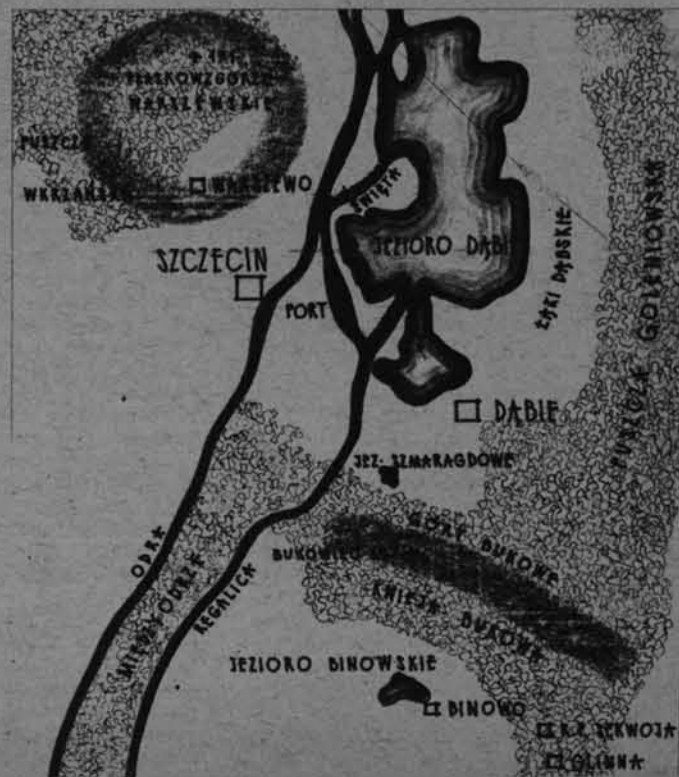
Położona na południowym stoku wzgórz osada Binowo — to jedyny w okolicy miasta rezerwat krajobrazowy, zupełnie zresztą wyjątkowy w swym pięknie. Łączą się tu w jedno niezwykle walory sytuacyjne: w dolinie otoczonej wzniesieniami i rozległymi lasami rozpościera się jezioro — i nie trzeba zbyt wiele wyobraźni, by uzmysłowić sobie, jak pięknie łączą się muszą wzgórze, las, tafla wody i zabudowania osady. Warto też zauważyć, że kotlina Binowa ma także wyjątkowe warunki klimatyczne; pozwalają one m. in. na powodzenie prób aklimatyzacji bawełny.

Jak widać z tego pobieżnego zestawienia — naprawdę warto zapoznać się z obszarem Wielkiego Szczecina.

Rys. A. Pietsch



SZCZECIŃSKIE REZERWATY



CZESŁAW PISKORSKI

Autor artykułu, ur. 1915 r. Geograf, popularyzator Szczecina i regionu zachodnio-pomorskiego. Autor licznych prac popularnonaukowych, aktywny działacz ruchu krajoznawczego i turystycznego. Obecnie przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu do Spraw Turystyki w Szczecinie.



O POTRZEBIE TRADYCJI

FELIETON DYSKUSYJNY
napisał
JERZY LOHMAN

Umówmy się na samym początku, że będziemy tu mówili prawdę. W felietonie, i to w dodatku dyskusyjnym, można sobie niekiedy na to pozwolić. A że wywołamy protesty, obrony, potępienia... Trudno. Od czegoż dyskusja.

Jest fakt oczywisty dla wszystkich, którzy znają nieco Ziemię Zachodnią i Centralną. Faktem tym jest rzucające się natychmiast w oczy wrażenie, że na tym „zachodzie” jest „jakoś inaczej”. Pojęcie „inności” jest oczywiście bardzo złożone. Mieści się w tym i stwierdzenie różnic cywilizacyjnych (np. zestawienie Dolny Śląsk — Kieleccyzna) i odrębności socjologicznych, i najczęstsze chyba zjawisko, różnie zresztą nazywane: tymczasowością, brakiem przywiązania do nowej siedziby, brakiem tradycji, niedostatecznym życiem się z daną miejscowością itd.

Poczucie tymczasowości występujące u wielu mieszkańców Ziemi Zachodnich tłumaczono politycznie i ekonomicznie, rzadziej psychologicznie. W ostatnim roku poczyniono bardzo wiele, by właśnie w dziedzinie politycznej i ekonomicznej zlikwidować atmosferę tymczasowości. Kroki te są wszystkim znane, nie ma potrzeby ich przypominać. Natomiast dziedzina psychologiczna, uczuciowa, w dalszym ciągu chyba pozostaje pusta.

W tym miejscu konieczna jest zmiana terminu. Termin „tymczasowość” odpowiadał kategoriom ekonomicznym i politycznym. Jeśli jakiś człowiek nie remontował domu, bo mu się to nie opłacało, trzeba to niewątpliwie nazwać tymczasowością. Natomiast w kategoriach psychologicznych właściwsze będzie określenie: brak życia. Człowiek wygrywający milion w „Liczyrzepkę” wraca do rodzinnej miejscowości na Podhalu lub koło Przemysła i tam buduje sobie dom. Działa tu chyba nie tyle „tymczasowość”, co brak życia ze „spuścizną Piastów”. W praktyce oczywiście oba terminy dają ten sam efekt. Czegoż nie zrobiono — jak dotąd — by wzbudzić w ludziach sentyment do tych ziem! Wywoływano bez przerwy duchy Słowian, Piastów i — rzadziej i tylko gdzieś — działaczy Rodła. Efekt, obawiam się, mizerny. Raz dlatego, że większość owych publikacji w ogóle do adresata nie docierała (patrz: zagadnienie czytelności prasy w mieście i na wsi), dwa — że wszystko to razem było dość „dretwe” i mało atrakcyjne. Gdzie tam do swojskiej, szczerzej i tak bliskiej sercu tradycji podhalańskich wsi, małopolskich miasteczek, czy kieleckich grodów, jeszcze przez Kazimierza Wielkiego zakładanych!

Postaram się wyjaśnić, o co mi chodzi. Sądzę, że jedną z najistotniejszych rzeczy, istniejących w biednych, małych miejscowościach Polski centralnej, (często w ogóle) jedną z wartości tych naprawdę tragicznych w swym ubóstwie i zacołaniu osiedli, jest silna i żywa tradycja lokalna. Z niej właśnie wynika sentyment i przywiązanie mieszkańców do swych miejscowości. Nie tylko wielkie miasto o wspaniałej historii i zabytkach, nie tylko Kraków, Warszawa czy Poznań mają swoich fanatyków, znawców, wielbicieli. Stokroć bardziej zapalonych patriotów lokalnych spotykałem w Kielcach, Sandomierzu, Proszowicach, Miechowie,

MŁYNY NA KACZCE

JACEK FEDOROWICZ
ANDRZEJ REY

ziemia NIKT JESZCZE
O TYM NIE PISAŁ

Rzeka nazywa się Kaczka lub Zarnówka. Jeszcze z początku XIX wieku była wzmiankowana jako Olza. Jest prawym dopływem Kamiennej, wypływa spod szczytu Czarny Las, 345 n. p. m., w pasmie Łysogór między Suchedniowem a Bodentynem. Długość rzeki jest niewielka, od źródeł do ujścia liczy 20 km, powierzchnia zaś dorzecza wynosi 70 km².

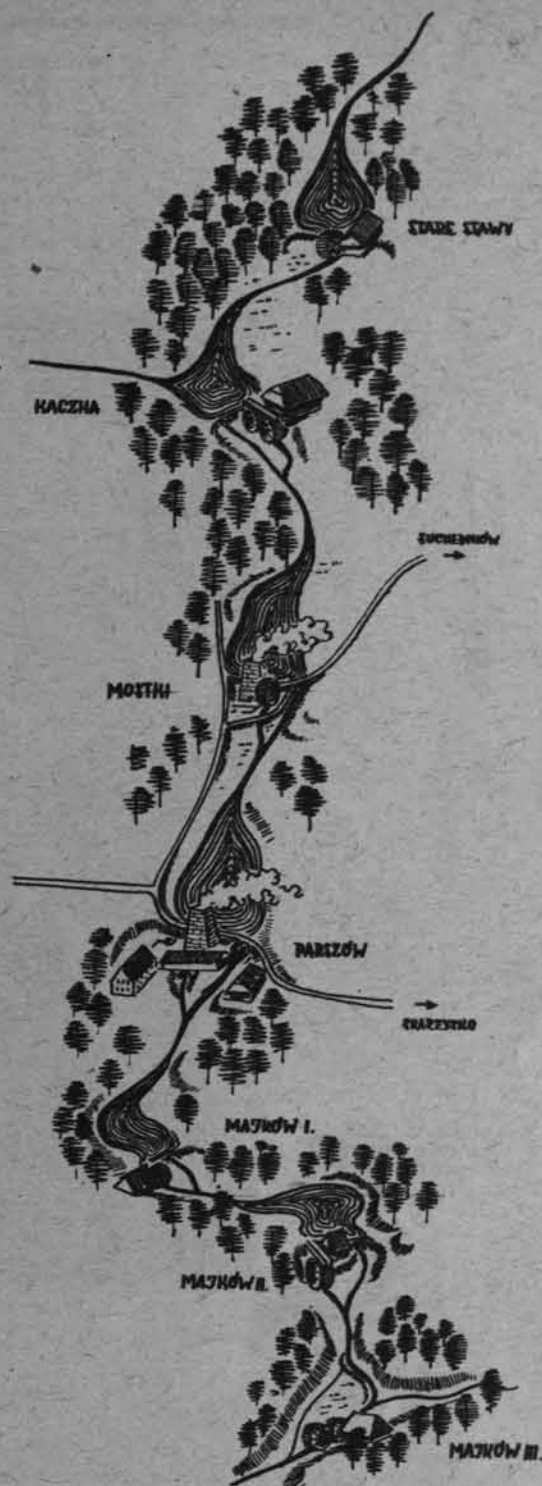
Położona w krainie „we wszelkie bogactwa natury obfitującej”, a przede wszystkim w rudy żelazne, których złoża były od wieków eksploatowane, została wcześniej wykorzystana jako źródło energii motorycznej dla powstającego tu przemysłu żelaznego, którego początek odnieść można do średniowiecza. Pierwsze wzmianki historyczne wspominają w 1571 r. o „Minera Maiek adiacent ville Parsow”, gdzie pracowała dymarka na 2 koła wodne. Mowa tu o dymarce w Majkowie, którą później notuje Łabędzki w 1709 r., a u J. U. Niemcewicza w „Podróżach Historycznych” w 1811 r. notowana jest tu fryszerka (zakład świeżenia żelaza). Nieco wyżej, na tej samej rzece, w miejscowości Mostki, powstaje w r. 1759 wielki piec. Również w r. 1748 wymieniany jest wielki piec w Parszowie. Są to dobra biskupów krakowskich.

Świątynia przemysłu Zagłębia Staropolskiego i jego rozwój przypada na okres rządów Królestwa Kongresowego i działalności Stanisława Staszica i Ksawerego Druckiego-Lubckiego. Rzeka Kaczka, zwana wówczas Olzą, płynie przez centrum tego zagłębia. Koniec działalności nastąpił w ostatnich latach wieku XIX i w początku wieku XX, wobec konkurencji nowoczesnego hutnictwa i w wyniku polityki rządu carskiego, dążącego do zniszczenia przemysłu w Zagłębiu Staropolskim.

Ale wróćmy do Kaczki. Z omówionych zakładów przemysłowych zostały dziś ruiny hut w Mostkach i Parszowie, przez które przepływa śmiesznie mała w stosunku do nich rzeczek i pięć młynów wodnych, również już nieczynnych i chylących się ku ruinie.

Stary Stawek. Młyn usytuowany około 3 km poniżej źródeł rzeki był tzw. „młynem rudnym”, przegotowującym rudę do wytopu. Zbiornik wodny o pojemności około 10,000 m³ był obciążony serwitutem na korzyść huty w Mostkach, służył więc również jako zbiornik retencyjny na wypadek posuchy. Przy grobli zachował się budynek młyna pochodzący prawdopodobnie z końca XIX wieku i koło wodne nasiębiernie o średnicy 2 1/2 m.

Kaczka (miejscowość, od której wzięła nazwę rzeczek). Młyn o analogicznym przeznaczeniu, jak w Starym Stawku, obciążony był tymi samymi serwitutami na rzecz zakładów niżej położonych. Obecny budynek wzniesiony został w 1886 r., o czym świadczy napis ponad wejściem. Drewniany, fundowany na palach, kryty dachem naczółkowym obitym gontami. Zachowały się w dobrym stanie dwa koła wodne nasiębiernie o średnicy 2 1/2 m, osadzone na potężnych wałach drewnianych. Zachowało się również urządzenie wewnętrzne, mocno zdewastowane. Obiekt, od dawna nie użyt-



kowany, chyli się ku ruinie. Ukształtowanie grobli świadczy o tym, że dawny młyn stał około 50 m dalej na zachód i zapewne po jakiejś katastrofie został przeniesiony na obecne miejsce.

Majków-Piaski. Poniżej szosy Skarżysko-Starachowice rzeka wpływa w wąską dolinę o wysokich, stromych brzegach. Tu w odstępach kilkuset metrów od siebie zachowały się trzy młyny: Pierwszy z nich pracował jako młyn gospodarczy do roku 1945, obecnie znajduje się w stanie całkowitej ruiny. Drugi — położony nad małowniczym stawem, pracuje do dziś. Budynek odnowiony, lecz o ładnym naczółkowym dachu krytym gontem, budowany na zrąb na wysokiej, kamiennej podmurówce, posiada koło wodne nasiębiernie łopatkowe o średnicy 2 m. Trzeci młyn jest położony około 300 m dalej wśród lasu u stóp wysokiej szkarpy. Jego założenie odmiennie od wszystkich poprzednich wymaga szczególnej uwagi. Nie ma tu bowiem grobli z jazem i stawu, lecz główny nurt rzeki został przełożony i silnie obwałowany, przy czym zmniejszono spadek dna, uzyskując pożądaną wysokość spadku na koło wodne. Zachował się budynek młyna drewniany, zbudowany na zrąb na podmurowaniu kamiennym, nakryty dachem naczółkowym gontowym. Młyn posiadał pierwotnie dwa koła podsiębiernie, ustawione szeregowo. Z jednego pozostały szczątki, drugie o bardzo interesującej konstrukcji szprychowej i średnicy 3 1/2 m, osadzone na drewnianym wale, o z górą półmętrowej średnicy — zachowało się dobrze. Również zachowało się zdewastowane urządzenie wewnętrzne. Ślady żużla na stokach szkarpi i grobel świadczą, że jest to miejsce dawnej dymarki, której historię opisano powyżej, a samo założenie wodne pochodzi z czasów, gdy „Minora Maiek adiacent ville Parsow”.

Stan opisanych młynów na Kaczce jest więcej niż opłakany. Wobec zupełnej nieopłacalności młynów gospodarczych wychodzą one z użycia i szybko idą w ruinę. Dlatego podjęcie starań w celu zabezpieczenia przynajmniej najcenniejszych zabytków jest rzeczą pilną, a wydaje się, że młyny na Kaczce i trzeci w Majkowie całkowicie zasługują na ochronę konserwatorską.

Źródła: M. Radwan, Wielkopiecownictwo w Zagłębiu Staropolskim, J. U. Niemcewicz, Podróże historyczne. Kartoteka zabytków Zagłębia Staropolskiego I. U. i A.

O WIELKANOCNYM POSĄGU



(I) Chrystus z Bralina, koniec XV wieku, pewną sztywnością i schematyzmem potraktowania stanowi dobry przykład gotyckiej rzeźby.

(V) Chrystus z Wisły Małej, przykład prymitywnej rzeźby samouka, nie pozbawiony uroku mimo wadliwych proporcji i ciężkiej budowy.

(II) Chrystus z Hebdowa, początek XVI wieku, rzeźba z kręgu „stwoszowskiego”.

(III) Rzeźba z Baranowa z początku XVIII wieku, „miękkim” sposobem ujęcia zapowiada już okres baroku.

(IV) Rzeźba ze Szczepieszyna, dobry przykład XVIII-wiecznego stylu późnobarokowego.



Gdy w czasie nabożeństwa rezurekcyjnego wyrusza procesja od grobu, już z dala zwraca uwagę niesiony na jej czele posąg Chrystusa Zmartwychwstałego. Posąg ten, w sposób niejako „wizualny” — tradycyjnie symbolizuje sens całej uroczystości. Po procesji rzeźbę umieszcza się na ołtarzu głównym, gdzie stoi przez cały okres wielkanocny. Wreszcie po jego upływie zostaje usunięta i przeważnie pozostaje w zapomnieniu aż do następnego roku.

Przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że prawie wszystkie dawne rzeźby o treści religijnej przeznaczone były do bezpośredniego kultu, mieszcząc się na ołtarzach, bądź stanowiąc fragmenty dekoracji snycerskiej okazalszych sprzętów. W przeciwieństwie do tego, rzeźba Chrystusa Zmartwychwstałego, znajdująca się zresztą w każdym kościele, przeznaczona jest wyłącznie do okresowego użytku,

stając się niemal tylko rekwizytem związanym z liturgią wielkanocną.

Dokładny czas pojawienia się rzeźb o tym przeznaczeniu nie jest znany, chociaż bogata ikonografia Chrystusa Zmartwychwstałego w sztuce chrześcijańskiej sięga IV wieku. Najstarsze zaś znane zabytki na terenie Polski odnoszą się, podobnie jak inne przedstawienia w zachowanej luźnej rzeźbie drewnianej — do połowy wieku XIV. Należy przy tym podkreślić, iż samo przedstawienie w ciągu wieków nie uległo zasadniczym zmianom, wytwarzając zdecydowany typ ikonograficzny, podlegający wyłącznie okresowym przemianom stylu.

Można zauważyć, że zabytkom tego typu towarzyszy stosunkowo niewielkie zainteresowanie. Może dlatego, iż rzeźby te w indywidualnych przypadkach nie nasuwały ciekawych problemów artystycznych. A może z uwagi na ich drugorzędne znaczenie, już przez samych twórców wykonywane były bez większej staranności i prawie seryjnie. Faktem jest, że brak wśród nich dzieł o wybitnej świetności.

A jednak stanowczo warto zwrócić uwagę na posągi Chrystusa Zmartwychwstałego. Ich jednolitość przedstawienia daje bowiem dobre wyobrażenie o przemianach stylowych rzeźby w różnych okresach. Zestawione tu przykłady reprezentują przeciwny poziom artystyczny, charakterystyczny dla większości obszaru kraju.

A więc Chrystus z Bralina (I) z końca XV wieku, o postaci wydłużonej i ascetycznej, twarzy zapadłej i nie pozbawionej charakterystycznego wyrazu, przy pewnej sztywności i schematyzmie traktowania — przedstawia dobry przykład gotyckiej rzeźby. Ale już Chrystus z Hebdowa (II) z początku XVI wieku, z kręgu rzeźby stwoszowskiej, wykazuje odmienność tak pod względem anatomicznym, jak i dekoracyjnym. Szata ujęta w głęboko cięte, wykształcone fałdy o układzie „łyżkowatym” typowym dla współczesnego okresu stylowego.

Rzeźba z Baranowa (III) z początku XVII wieku, wykazuje w kompozycji wiele umiaru i tradycji. Lecz twarz już inna, zapowiada okres baroku, a fałdy płaszcza utraciły swą sztywność oraz schematyczność poddyktowaną obowiązującym poprzednio kanonem stylu. Z kolei całkiem już odmienny charakter ma rzeźba ze Szczepieszyna (IV), o tanecznej pozie, pełnej prawie teatralnego gestu. Stanowi dobry przykład XVIII-wiecznego późnobarokowego stylu.

Warto przytoczyć wreszcie rzeźbę ludową. Chrystus z Wisły Małej (V), o ciężkiej budowie ciała, wadliwych proporcjach i twarzy przywodzącej na myśl dobrodusznego wieśniaka — to typowy i chociaż może nie najcenniejszy, ale nie pozbawiony swoistego uroku przykład prymitywnej rzeźby samouka.

Có wniósł wiek XX w zakresie tego typu rzeźby — widzimy na wystawach sklepów dewocjonalnych, a co gorsze, już także w bardzo wielu kościołach... Fakt, iż posągi Chrystusa Zmartwychwstałego używane bywają tylko w krótkim okresie w ciągu roku, sprawia, że zabytkowe i niejednokrotnie cenne rzeźby istniejące jeszcze łatwo uchodzą uwadze zainteresowanych. Stare figury, przechowywane w różnych składzikach, skrytkach, szafach, a nawet na strychach i w rupieciarniach, często zapomniane, nie wracają już zwykle do użytku, w wielu wypadkach ulegając ostatecznemu zniszczeniu.

(MK)

O POTRZEBIE TRADYCJI



Przeworsku, Krośnie, Jarosławiu, Myślenicach...

Przyjedźcie do takiej dziury, pomówcie z ludźmi, a dowiecie się całej historii, opowiedzianej z dumą, sentymentem, sercem — tak, jak się mówi o drogich i bliskich istotach. Dowiecie się, kto i kiedy nadał jej prawa miejskie, jakie były kiedyś jej bogactwa i potęga, jacy gościli tu bohaterowie, jakie są zabytki i co przedstawiają. O wojnach szwedzkich mówi się jak o ostatniej okupacji. Może nas śmieszyć ten dziwny stosunek, możemy się pobłażliwie uśmiechać. Pewne jednak, że jest on fundamentem, na którym można wiele budować.

Jeździłem i mieszkalem trochę na Ziemiach Zachodnich i znam je chyba jako-tako. Z wyjątkiem okręgów zamieszkałych przez ludność autochtoniczną nigdzie nie spotkałem się ze stosunkiem, o którym pisałem powyżej. Trudno mieć o to pretensje do mieszkańców. Można je mieć do ogólnej polityki propagandowej i kulturalnej.

Proces zdobywania wiedzy i sentymentu do nowej siedziby „na zachodzie” wyglądał w skrócie następująco: Osadnicy przybywali do jakiejś miejscowości, nic nie wiedząc o jej tradycjach, przeszłości itd. Oczywiście, nikt nie mówił im o tym, ani też o historii szerszego regionu, w którym zamieszkali. Propaganda bębniła tylko o pradziejach słowiańskich oraz, znacznie już mętniej, o czasach piastowskich. Na ogół sami propagandziści nie znali dokładnie tych mocno zawitych problemów. Potem była kilkusetletnia luka w historii, ożywającej dopiero w r. 1945. W rezultacie ogromna większość naszych mieszkańców Śląska i Pomorza wyrobiła sobie taki mniej więcej pogląd: kiedyś, ale to bardzo dawno, byli na tych ziemiach Słowianie. Potem, ale też dawno, byli Piastowie. A potem nie było już nic, tylko samo

świństwo niemieckie, którym nie warto się zajmować. Więc też nie zajmowano się także wszystkim tym, co w okresie owego świństwa powstało. Lekceważono, po prostu. Skutki są dziś wiadome.

Konieczna jest zmiana tego stanu rzeczy. Konieczne jest umożliwienie powstania lokalnej, żywej tradycji na Ziemiach Zachodnich, co z kolei umożliwi zrodzenie się tu zdrowego, serdecznego patriotyzmu lokalnego. Aby to było możliwe, niezbędne jest wydobycie i ukazanie historii tych regionów. Takiej jaką była — nie tylko słowiańskiej i piastowskiej, ale także hanzeatyckiej i cesarskiej, raubritterskiej i tej z okresu wojny trzydziestoletniej. Ze nie będzie ona polska? Ależ będzie! Ludzie będą mieli o co zacząć myśleć, będą wiedzieli, skąd wzięły się te miasta, w których mieszkają i co się w nich kiedyś działo. Otoczenie, które obecnie jest dla nich tylko „niemieckie”, martwe i nic nie mówiące, zacznie coś przedstawiać.

Wiem, jak bardzo niepopularne jest to, co piszę i wiem ilu będę miał oponentów. Wiem, że powinniśmy ukazywać i popularyzować przede wszystkim polskość tych ziem. Ale mimo to mam odwagę domagać się, by ludziom dać także to, czego potrzebują i czego im brak — informację, tradycję, anegdotę. Fakt historyczny, że Śląsk był zamieszkały przez Słowian, i że panowali tu książęta piastowscy jest faktem, który oczywiście każdy znać powinien. Ale czy fakty te, anegdotycznie i tradycyjnie mało atrakcyjne (a przynajmniej w mało atrakcyjny sposób podawane), zaciekawiają, zapalają, przyciągną uwagę? Było to przecież bardzo dawno, nie wszędzie zachowały się pomniki z tego okresu. Ale epoka, która nastąpiła później, bliższa nam czasowo, pozostawia o wiele więcej pamiątek i wspomnień. Rozkwit kupiectwa

BESKIDZKA PUSTYNYA

W wielu miejscach w Beskidzie, na zboczach lub grzbietach, możemy napotkać grupy wyniosłych skałek — pojedynczych, albo też stojących grupami. Zwykle przynajmniej jedna strona skałki w dolnej partii jest podcięta; niekiedy cała skałka kształtem przypomina maczugę lub grzyba. Znamy takie baszty skalne pod Krosnem (Prządki), znany jest grzyb skalny na Bukowcu lub w Bigorzówce (we wsi Mierzeń) a także mniej charakterystyczna Malinowska Skała w Beskidzie Śląskim.

W jaki sposób z masywu skalnego mogą powstawać w trakcie naturalnego procesu te dziwne formy przypominające maczugi cieńszym końcem osadzone w ziemi?

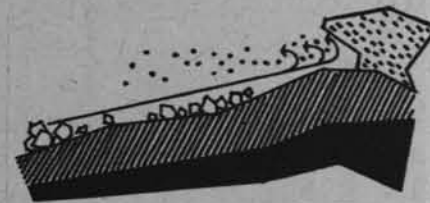
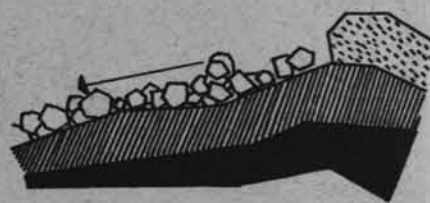
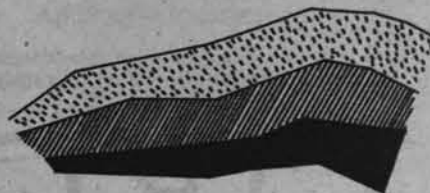
W klimacie zimnym a bardzo wilgotnym, gdzie tylko temperatura dzienna przewyższa 0°, a nocą panuje mróz, wierzchnie warstwy skały ulegają silnemu rozpadowi na pojedyncze bloki, które mogą pod wpływem siły ciężkości obsuwać się w dół

niebnie masy zimnego powietrza zalegające nad północną Polską wytwarzały wyż barometryczny, z którego wiały na zewnątrz zimne i silne wiatry; w Beskidzie oczywiście były to wiatry północne. Podobne stosunki obserwujemy dziś nad Grenlandią. Uboga roślinność tundry beskidzkiej nie stanowiła ochrony przed przeniesieniem drobniejszego materiału skalnego z miejsca na miejsce. Najdrobniejszy pylasty materiał dał urodzajne gleby lessowe południowej Polski, ale grubsze ziarno piasku niesione wichrem wykonało pracę, której rezultaty dziś obserwujemy.

Badania nad pustyniami pozwalają nam zupełnie dokładnie zrozumieć mechanikę ruchu cząstek piasku. Przy samej ziemi przesuwają się najliczniejsze, a także i najgrubsze ziarenka. Ku górze ilość grubszych ziaren maleje, następnie maleje także ilość ziarenek drobnych. Na pewnej wysokości już nie znajdziemy piasku, lecz najdelikatniejszy pył. W końcu i on znika.

Co nastąpi, gdy na drodze strugi niesionego huraganem piasku znajdzie się jakaś przeszkoda, np. blok skalny, dostatecznie wysoki?

Oczywiście, że najwięcej najgrubszych cząstek uderzy w dolną część bloku, a górna będzie atakowana słabiej. Każde ziarenko piasku, uderzając z pewną siłą o skałę, zetrze jej część, choćby najdrobniejszą. Działanie niesionych wiatrem ziarenek, — a przede jest ich praktycznie biorąc nieskończenie wiele — może spowodować poważny ubytek masy skalnej w dolnej partii bloku. Gdyby wiatry wiały z jednego kierunku, blok skalny zostałby podcięty tylko od strony wiatru, jednak przy zmienionych kierunkach wiatru nastąpi podcięcie skały ze wszystkich stron i powstanie grzyb, często jednak nie całkiem symetryczny. Obserwując sposób i kierunek podcięcia na wielu grzybach, maczugach, stołach i innych formach możemy odtworzyć kierunki i siłę dawno już zamarych wiatrów. A jest jeszcze jeden nieomylny dowód istnienia przed wiekami zimnej i wietrznej pustyni w Beskidzie: jest nim mianowicie istnienie tak zwanych trójgraniaków (Dreikanter, eologliptolizy), drobnych, zwykle parocentymetrowej średnicy kamieni, zbliżonych kształtem do niesymetrycznej trójściennej piramidy, której jedna krawędź jest zwykle dłuższa i nieco zaokrąglona. Kształt ten powstał także pod działaniem ziarenek piasku niesionych wiatrem. Trójgraniaki dziś przede wszystkim spotykamy na pustyniach, ale wcale nie są rzadkie także i w Beskidzie, gdzie dziś na pierwszy rzut oka trudno byłoby domyśleć się pustyni, która tu niegdyś istniała.



po zboczu. Ruch ten, przeważnie dość powolny, może przy sprzyjających warunkach przybrać formę gwałtowną. Rezultatem powolnego staczania się brył skalnych są piargi (np. w Tatrach) lub tzw. gołoborza, które w najtypowszej formie spotykamy w Łysogórach i na wyższych szczytach Karpat. Zjawiska obsuwania się partii skalnych obserwuje się teraz na całej przestrzeni Beskidów — są to jednak wypadki raczej już wyjątkowe i o wiele częściej obserwuje się zarastanie starych gołoborz i oсыpisk, aniżeli powstawanie nowych. Widocznie zmienił się klimat.

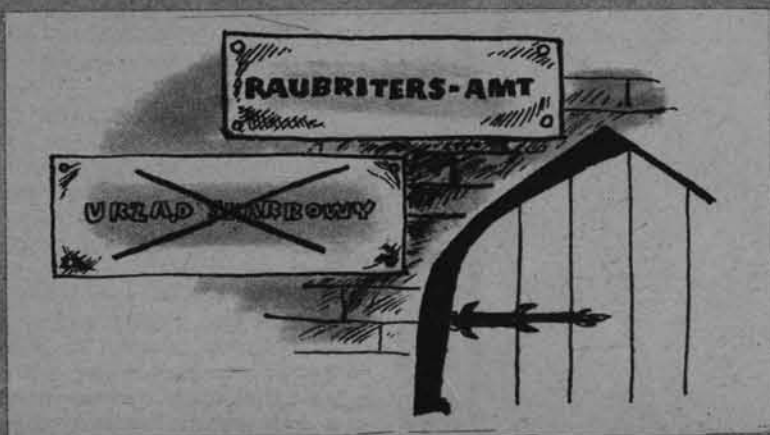
Wiemy skądinąd, że około 25 tysięcy lat temu pod koniec epoki lodowej klimat na terenie całego Beskidu był znacznie surowszy niż obecnie. Przypominał on warunki, jakie obecnie spotykamy na Spitzbergenie. Otóż zdarzyć się mogło i napewno zdarzyło się nieraz, że niecała partia skalna została usunięta i część bardziej odporna pozostała na miejscu w postaci odosobnionego bloku. Blok taki, w miarę upływających tysiącleci ulegał podziałowi na mniejsze. Przeważnie następowało to wzdłuż istniejących już pęknięć, a więc miejsc bardziej narażonych na działanie wody.

Klimat początkowo wilgotny stawał się coraz suchszy, pozostając jednak nadal chłodnym. Prawdopodobnie

ANDRZEJ
ŁASZCZYŃSKI



Rys. A. Pietsch



DOKOŃCZENIE NA STR. 11

DAWNA OPowieść

Trudno dziś przypuścić, że najżywszą pamiątką tych burzliwych czasów jest kamienna tabliczka z wykutymi rękami i mieczem, wmurowana w ścianę kościelnej kruchty. Związała się ona bowiem ściśle z posępną opowieścią o tamtych czasach. O legendzie tej pisze Pamiętnik Świętokrzyski z 1829 roku (Nr 1. str. 48), iż: „Ówczesny Dziekan mówił, że dowodu urzędowego (na legendę) nie ma, a tradycji wierzyć nie można i nic nie rzekł”.

Stary obywatel Secemina opowiedział ją tak, jak zasłyszał od ojca i innych ludzi: „Kościół ten — są jego słowa — jacyś heretycy posiadali... Mieli oni sobie nakazane oddać go katolikom, czego nie chcieli uczynić i zebrali się wszyscy do kościoła dla obrony go. Ale gdy katolików więcej się zbiegło, wypędzili ich; jeden z nich, najstarszy, który nie chciał kluczy od kościoła dać, mówił: „Chyba rękę pozbędę się, natenczas klucze dostaniecie”. Kazali tedy katolicy mistrzowi, aby temu heretykowi rękę uciął, a na pamiątkę, że tym sposobem kościół odzyskali, kazano na kamieniu rękę i miecz wyryć i wmurować w kościół.

TAJEMNICZA RZEŻBA

Legenda zachęca do dokładniejszego obejrzenia tablicy. Jest to kamien-

na płytka o niewielkich wymiarach 38×25,5 cm, pęknięta poprzecznie w jednej trzeciej długości. Przedstawione tu w płaskim reliefie skrzyżowane ręce, uwidocznione od strony wewnętrznej, przypominają rękawice (XVI wiek). Spoczywający pod nimi miecz, a raczej pochwa, o czym świadczy widoczny po prawej „trzewik” zakończony kulką, stanowi tylko fragment całości.

Już samo zestawienie płaskorzeźby z legendą daje wiele do myślenia. Wbrew bowiem opowieści, nie są to ani ręce, ani miecz, natomiast z całą pewnością rękawice i część pochwy miecza. Wniosek stąd prosty. Jest rzeczą nieprawdopodobną, by bezpośrednio znaczenie kamienia było takie, jakie przypisuje mu legenda. Stwierdzenie to jednak bynajmniej nie rozwiązuje problemu, a wprost przeciwnie stwarza od razu dwie nowe zagadki. A więc: jakie jest prawdziwe znaczenie płaskorzeźby i jaki istnieje związek między legendą a kamieniem?

SYMBOL PRAWNY...

Spróbujmy odpowiedzieć na pierwsze pytanie. Symbolika rękawic (czy rąk) zestawionych z mieczem może mieć różne znaczenie. Ks. Wiśniewski (Historyczny opis kościołów, miast, zabytków i pamiątek we Włoszczow-

skim. Marianka 1933.) uważa to połączenie albo za znak zgody między zważnionymi rodami, albo za nagrobny „symbol wiecznego pokoju, czyli śmierci”. Jednak zarówno jedno, jak drugie tłumaczenie jest przypuszczeniem, podanym bez dowodu. Należałoby zatem poszukać innego, pewniejszego wyjaśnienia.

Szukając tych elementów, znajdujemy je dość nieoczekiwanie wśród symboli związanych z prawem. Okazuje się mianowicie, że zarówno ręka, jak rękawica, wreszcie miecz, miały tu duże znaczenie. Wilhelm Funk w „Alte deutsche Rechtsmale” (Bremen 1940) podaje kilka różnych grup zastosowania tej symboliki. Trzeba dodać, że nie była ona zjawiskiem występującym tylko na terenie Niemiec, lecz miała znacznie szerszy zasięg i łączyła się z prawem miejskim w ogóle.

Z ręką jako symbolem prawnym spotykamy się w sprawach związanych z morderstwem. Według średniowiecznych ustaw, przy składaniu skargi na zabójstwo, należało dostarczyć do sądu zwioki, jako „skargę zabitego człowieka”. Ponieważ jednak zwyczaj ten był kłopotliwy, zamiast go na „skargę martwej ręki”. Z czasem także tego zaniechano i wystarczyło przynieść tylko palec, a nawet część szat zabitego. W XVII wieku i ten zwyczaj wygasa.

OBCIĘTE

ziemia NIKT JESZCZE
O TYM NIE PISAŁ

Posąg tzw. Rolanda z Halberstadt (r. 1433). Obok: „Obcięte ręce” w kruchcie secemińskiego kościoła. Fot. autor

Woda pluszcze na rynku Secemina i cembrowanym korytem płynie ku pustkowiom moczarów Sece.

Na rozległej, smutnej równinie wśród bagiennych uroczysk i zarosłych szuwarem mokradel sterczą z płaskich wydm karłowate sosny. Daleki horyzont ponad ciemnym pasmem lasów zamykają ostatnie wzniesienia Gór Świętokrzyskich. Stary, szeroki trakt z Włoszczowej do Koniczyna biegnie groblami omijając kraje pustkowi.

Wśród tych moczarów, na piaszczystym półwyspie mała osada z trudem mieści swój kwadratowy rynek z pięcioma rozbiegającymi się uliczkami, wzdłuż których płynie woda. Nad nią, poprzerzucane między drzewami, drewniane mostki wiodą do bram parterowych domów. Przy moście, w rynku, woda zbiera się w rzeczkę i przepłynąwszy kilkadziesiąt metrów uchodzi do fosy w starym parku, otaczającym drewniany dwór na wyspie.

Naprzeciw dworu, na wzgórzu, stoi wielka ceglana budowla, teraz kościół, niegdyś ariański zbór. Bowiem Secemin, dawne grodzisko, a od 1401 miasteczko potężnego rodu Szafranców, był drugą po Rakowie stolicą arian. Przeżywał okres świetności, która później już nigdy nie powróciła. Wtedy powstał tu zbór, w latach 1556, 1616 odbyły się synody z udziałem najświetniejszych ówczesnych reformatorów polskich. Założono bibliotekę i uczelnię, będącą filią słynnej rakowskiej akademii. Miasteczko w bujnym rozkwicie stało się jednym z ośrodków życia umysłowego.

Niestety, rozwój ten trwał krótko. Już po drugim synodzie nastąpił upadek. Szkoła została zamknięta, innowiercy wygnani, a bibliotekę spalili na rynku archidiacon kurzelowski. Po odebraniu zboru zatarto wszelkie ślady po „heretykach”. Zniszczono urządzenia, potłuczono nagrobki, a ich fragmenty wydarte ze ścian powrzucono do stawów i studni. Tak skończyła się świetność Secemina.

RECE

JANUSZ BOGDANOWSKI

Wróćmy jednak do średniowiecza. Otóż w wypadku, gdy morderca został ujęty, miał on obowiązek uczestniczenia w pogrzebie i złożenia ręki swej ofiary do grobu. Często jednak zdarzało się, że przestępca nie został schwytany i wtedy ręka ta pozostawała w sądzie. Pewna ilość takich zasuszonych rąk sprzed wieków przechowywana była do niedawnych czasów w archiwach sądowych (!) a później w muzeach. Taka ręka znajdowała się na przykład w Sobótce na Śląsku. Nieznane są jednak wypadki, by obcięta ręka, czy rękawice doczekały się jakiejś osobnej pamiątkowej tablicy, czy rodzaju nagrobka.

...CZY OSTRZEŻENIE?

Z innym wypadkiem, gdzie ręka odgrywała rolę symbolu prawa, mamy do czynienia przy tak zwanych „znakach pokoju” (po niemiecku „Friedenszeichen”), które znane są już od XIV wieku. Jeżeli chciano zaznaczyć, że dane miejsce, a więc na przykład: teren miasta, rynek, plac zamkowy, są pod szczególną ochroną prawa, umieszczano specjalną tablicę. Widoczna na niej ręka i topór stanowiły przestrożę, że każdemu, który by odważył się rozpocząć na tym miejscu zwadę czy bójkę, zostanie obcięta ręka. Tablicę taką umieszczano na dobrze widocznym miejscu, a granice obszaru, do którego się odnosiła, wyznaczały specjalne znaki, krzyże lub nawet miejscowa tradycja.

W XV i XVI wieku tak prawo, jak i tablice ulegały poważnej ewolucji. Prawo bowiem zaczęło stosować do wszelkich miejsc, gdzie mogła się zgromadzić większa ilość ludzi, a więc obejść kościelnych, szpitali,



karczem itp, zaś na tablicach pojawiły się zamiast jednej — dwie ręce, ręka z palcami wyciągniętymi do przysięgi (Friedberg w Hesji) a nawet rękawice (Neuenburg w Schwarzwaldzie 1593), zaś topór często pomijano w ogóle lub zastępowano mieczem.

Podobne znaczenie miał jeszcze inny symbol prawny, operujący również mieczem i rękawicą. Według Grimma (Rechtshaltertümer 1828. str. 172) „...gdzie budowano nowe miasto lub zakładano plac targowy, tam umieszczano krzyż, który oznaczał, że panuje tu święty pokój i zawieszano tam także królewską rękawicę, aby wiadomo, że dzieje się to za wolą króla”. Zwyczaj ten mieli przynieść na ziemie polskie koloniści, którzy w uroczystych procesjach obnosili wokół nowo lokowanej osady mały żelazny krzyż, a potem zatykali go na środku placu, na dużym krzyżu drewnianym, malowanym na czerwono (!) (Schönfelder A. Die kirchliche Weihe der deutschen Ostsiedlungsdörfer. Hist. Jahrbuch. 52. 1932 str. 500). Podobnie jak w poprzednim wypadku, krzyż ten uległ przemianom. Czasem umieszczano na nim nie jedną, a dwie rękawice, później także miecz, stosując przy tym najróżniejsze odmiany i formy zestawień tych elementów. Miało to doprowadzić w

końcu do powstania tak zwanego „Rolanda”, kamiennej lub drewnianej figury rycerza, ustawionej na rynku miasta, a będącej symbolem „pokoju, praworządności i władzy królewskiej” (Funk, str. 176). Roland taki, w postaci rycerza w rzymskiej zbroi, stał na przykład na rynku w Cedyni nad Odrą.

ODKRYCIE W STUDNI

Zapoznawszy się z pomnikami prawa, wróćmy do naszej płaskorzeźby z Secemina. Związek jej z całą grupą wspomnianych „krzyży rynkowych” jest bardzo prawdopodobny, lecz brak analogii formalnych skłania raczej do odrzucenia tej możliwości. Daleko bardziej prawdopodobnym wydaje się związek z grupą „tablic pokoju”, gdyż zarówno miejsce, w którym płaskorzeźbę umieszczono (obejście kościoła), jak i sama jej forma (rękawice i miecz) zgadzałyby się ze stosowaną w tym wypadku symboliką. Jednakże pewien szczegół, mianowicie fakt, że miecz jest w pochwie, podważa nieco to przypuszczenie.

Pozostaje zatem zastanowić się nad jeszcze jedną możliwością pochodzenia zagadkowej płyty. O możliwości tej wspominał już ks. Wiśniewski.

Otóż kilkadziesiąt lat temu z dna studni w Seceminie wydobyto kamienną rzeźbę brodatego rycerza, który wprowadził w zbroi, lecz bez miecza, dzierżwił w ręce księgę. Wszystko wskazywało na to, że był to posąg nagrobny arianina, Stanisława Szafranca, który potłuczono i wyrzuciono ze zboru w pamiętnych dniach



wygnania innowierców z Secemina. Obecnie posąg leży na podwórku zamku w Pieskowej Skale. Nasuwa się tu od razu myśl, łącząca naszą płytę ze zniszczonym pomnikiem nagrobnym. Ale równocześnie powstaje problem: jeżeli tak ważny atrybut stanu rycerskiego, jak miecz, usunięto z ręki rycerza, by stało się zadość arianiskim tradycjom, to dlaczego miano by go umieszczać na innym miejscu nagrobka? Do tej wątpliwości dochodzi jeszcze inna, mianowicie prostota formy (sam miecz i rękawice) nieznaną z innych nagrobków renesansowych, gdzie z zasady poszczególne elementy uzbrojenia, jeśli już w ogóle są, to występują masowo.

Tak więc trudno ostatecznie stwierdzić, jakie jest prawdziwe pochodzenie secemińskiej płaskorzeźby. I jedna możliwość — tablica pokoju, i druga — fragment nagrobka, są równie prawdopodobne, a jeżeli przyjdzie się skłonić ku tej drugiej, to tylko dlatego, że wyjaśnienie to jest bardziej „zwykłe”.

Jeśli zaś chodzi o legendę, to rozważania te wcale jej nie podważają, gdyż dla upamiętnienia egzekucji mieszkańcy Secemina mogli wykończyć fragment nagrobka czy tablicę pokoju, nadając jej z pomocą opowieści nową treść.

U góry z lewej: Przykład rzadko spotykanej formy tablicy pokoju z r. 1593: ręka złożona do przysięgi i rękawica. U góry: Jeszcze jedna tablica pokoju: z Weissenburga (r. 1766). U góry z prawej: Nagrobek Stanisława Szafranca, wydobyty z secemińskiej studni, a obecnie znajdujący się na dziedzińcu zamku w Pieskowej Skale. Obok: Dawny zbor w Seceminie. Poniżej: Kilka form krzyży rynkowych wg Funka. Zdjęcia i rysunki autora.



i rękodziela, epepeje rycerskie, reformacja, Wallenstein i Tilly, walki religijne, wojna sukcesyjna, odyseja napoleońska, Kutuzow...

Jak może zaszkodzić nam wiedza o tej przeszłości? Dlaczego pozbawiamy ludzi ciekawej, barwnej tradycji, której pamiątki widzą dokoła? Im bardziej popularne i masowe były publikacje, poświęcone Ziemiom Zachodnim i ich przeszłości, tym bardziej kastrowano, odbarwiano i lekceważono ich historię i tradycję. Ani słowa o tym co mogłoby zająć, zaciekawić, przyciągnąć, co dawałoby jakąś ciekawą, żywą informację. Klasycznym przykładem takiego wydawnictwa może być wydany przed dwoma laty „Przewodnik po Wrocławiu”. Suchy opis miasta i jego zabytków przerywają częste i niezbyt interesujące dywagacje na temat mało ważnych, personalnych najczęściej związków z Polską. Jednocześnie uderza absolutny brak informacji dotyczącej Wrocławia habsburskiego. Np. miło mi dowiedzieć się, że jedną z kaplic w katedrze ufundował arcybiskup Przecław z Pogorzeli. Natomiast ogromnie chciałbym wiedzieć, jak nazywali się fundatorzy dwu sąsiednich, barokowych, niezmiernie cennych kaplic. O ile mogłem się jedynie domyślić z nieudolnie odczytanych przez siebie łacińskich epitafiów, jeden był kardynałem, i zarazem księciem heńskim, drugi kardynałem i elektorem bawarskim, fundatorem mnóstwa cennych budynków i kościołów w Dolnym Śląsku. Niestety, moja znajomość łaciny nie pozwala mi stwierdzić ostatecznie słuszności tych domysłów, a nigdzie, dosłownie nigdzie nie mogłem przeczytać żadnej informacji na ten temat. Zagadnięty w tej materii przewodnik po katedrze mruknął coś wymijająco i zaprowadził mnie szybko przed grób biskupa Nankera.

Inny przykład: opisując ul. Wita Stwosza autorzy stwierdzają, że znajduje się tu piękny klasycystyczny pałac Hatzfeldów. I koniec. Kim byli ci Hatzfeldowie? Diabli wiedzą. Może bankierzy, może raubritterzy, a może to nazwa jakiegoś towarzystwa? Czytelnik się nie dowie.

Ludzie chcą znać dzieje swych miast, chcą je lubić, chcą być z nich dumni. W Krakowie wnet ci powiedzą, gdzie się odbywała uczta Wierzyńka i skąd konfederaci barscy strzelali do Kozaków. A we Wrocławiu? Wiem, że tu byli Henrykowie — Brodaty, Pobożny i Probus i że tu Kazimierz Wielki spotkał się z cesarzem Karolem IV. Ale poza tym? Nic. Dosłownie nic. A przecież było to miasto o olbrzymiej, bogatej historii, kulturze i tradycji. Czy łatwo jest przywiązać się do miasta, o którym się nic nie wie? Czy można je pokochać? Chyba bardzo trudno.

Myślę, że byłoby dobrze i bardzo korzystnie, gdyby we Wrocławiu, Gorzowie, Kolobrzegu, Legnicy, Bystrzycy Kłodzkiej i Lubaniu pojawili się tacy fanatyczni patrioci lokalni, którzy są urokiem i sercem Krakowa, Tarnowa, Jarosławia, Sandomierza. Myślę, że byłoby wtedy jakoś lepiej i cieplej w tych miastach i chyba mniej mówionoby o „wrażeniu tymczasowości”. Ale żeby się to stało, trzeba ludziom okazać tradycję. Taką, jaka jest. Wystarczy, że jest tutejsza. Nie dójmy się. Ani blask hanzeatyckich dukatów ani brzęk Wallensteinowskiej szpady nie zgermanizują dzisiejszych mieszkańców naszych Ziemi Zachodnich.

KONIEC

PATRZ

POLEMIKA STR. 24

NA KUJAWSKIM SZLAKU MŁODEJ POLSKI!



ERYWAŃSKA, 14
w WARSZAWIE

U góry: Nigdzie dotychczas nie publikowana fotografia Stanisława Przybyszewskiego prawdopodobnie wykonana w r. 1902. Zdjęcie pochodzi z prywatnych zbiorów prof. dr. Stanisława Helsztyńskiego. U dołu: kościół w Górze k. Inowrocławia. Fot. St. Alexandrowicz.



Region kujawski wszedł do literatury w twórczości dwu wielkich synów tej ziemi: Jana Kasprowicza i Stanisława Przybyszewskiego. Kraj ich lat dziecińczych — to kujawska równina, dla obcych monotonna i nużąca w swej jednostajności — a dla nich to „jeden wielki cud“ — jak pisze Przybyszewski.

„Trójkąt obwodu paru mil kwadratowych pomiędzy Inowrocławiem, Gniewkowem, a pramatką, kolebką ojców naszych Kruszwicą“ — oto ta najbliższa sercu ojczyzna, której widać wyłania się z szeregu jego utworów, jak refren muzyczny stale powracający. Z pisanych u schyłku życia „Moich współczesnych“ pamiętamy tę „olbrzymią przestrzeń, równiuteńką jak stół, nagą prawie, tylko tu i ówdzie parę dróg, obsadzonych wierzby. Z jednej strony moczary i torfowiska — a miast drzew, długie rzędy kóp torfu, poprzedzielane głębokimi rowami, z drugiej strony urodzajne pola: ogromny szmat ziemi, obsianej różnorodnym zbożem — jakaś mała górką — na niej wiejski kościółek. Srebrna, wielka tafla jeziora, na horyzoncie majaczyła jakaś wieża... kolebka rodu polskiego — „Kruszwica“.

Interesował mnie od dawna ów biały wiejski kościółek na Górze i zapomniany grób Stanisława Przybyszewskiego na wiejskim cmentarzu.

Pewnego sierpniowego dnia 1954 roku urządziliśmy wycieczkę do kraju lat dziecińczych Przybyszewskiego i Kasprowicza. Wyszliśmy z Inowrocławia. Ulica Szymborska, potem droga prowadząca w kierunku południowym do Szymborza — pierwszego etapu naszej wędrówki. Tę samą drogę w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia przemierzał uczeń inowrocławskiego gimnazjum Jan Kasprowicz. Wówczas była tu szczyra wieś i zwykła wiejska droga. Dziś jest inaczej. Niedawno wycięto drzewa przydrożne, znikła zabytkowa kapliczka w połowie drogi, przy której (jak głosiła miejscowa tradycja) młody Kasprowicz spędzał chwile nad książką. Wyrosły nowe zabudowania, zacierając niejako granicę między wsią a miastem.

Przed nami Szymborze, odległe o niespełna 4 km od miasta. Wieś smutna, pozbawiona drzew, rozpo-

ścierająca się Gokoła sadzawki. U Kasprowicza many taki obraz rodzinnej wsi:

„Rzedem przy drodze, na wzgórzach żółtego piasku, szarżują o niskim zrebie chałupy paloną kryte dachówką dziś poczerwiałą od deszczu“.

Inaczej jest obecnie. Wyrosły murowane domki. Okazały nowy budynek szkolny, niczym nie przypomina dawnej wiejskiej szkoły, w której nauczyciel Dybalski „odkrył“ nieprzeciętne zdolności chłopca. Na ścianie zewnętrznej budynku tablica pamiątkowa, ufundowana przez nauczycielstwo powiatu inowrocławskiego w czerwcu 1927.

Dalej na południowym skraju wsi domek, zbudowany w r. 1924 przez siostrę poety Annę Roliradową i jej męża na fundamentach zburzonej w 1914 r. dawnej chaty Kasprowiczków, w której 12 grudnia 1860 r. urodził się poeta. Informuje o tym tablica, umieszczona na zewnętrznej ścianie domostwa.

W izbie — stanowiącej skromny zaczątek muzeum — zdjęcia, ryciny, fotokopie listów, związane z osobą nie tylko Kasprowicza, lecz także i Stanisława Przybyszewskiego. Oglądamy podobiznę matki Jana, chłopki o ostrych, steranych życiem rysach, jej syna — tu w fantastycznej młodopolskiej pelerynie, tam znów w to-dze rektorskiej. Przechodzimy dalej do zatartej podobizny Józefa Przybyszewskiego, który w pobliskim Łojewie uczył dzieci chłopskie, i jego żony Doroty z Grabczewskich córki organisty z Łążyna pod Toruniem.

Gdy po upływie trzech lat w sierpniu 1957 r. znowu przechodziłam przez Szymborze, nie znalazłam tam już izby kasprowiczowskiej. Przestała ona istnieć w kilka miesięcy po głośnych uroczystościach w sierpniu r. 1956, związanych z 30-ą rocznicą śmierci Jana Kasprowicza. Po cichu usunięte zostały z niej ekspozycje, zamknięta księga pamiątkowa z licznymi podpisami zwiedzających, a pomieszczenie przeszło w użytkowanie rozrastającej się rodziny mieszkańców tego domu. Podobno Wydział Kultury, rezygnując z Szymborza, obiecuje na przyszłość — muzeum w Inowrocławiu. Nie każdemu decyzja ta wydaje się całkiem słuszną. Nie Inowrocław — ale równina kujawska i niebo nad nią fantastycznie zmienne, nie miasto — ale wieś i przyroda stały się właściwym tłem dla twórczości poety, który sam potem wyznał: „Wszystkie niemal krajobrazy moje, to wspomnienie Kujaw, obracające się na przestrzeni na oko bardzo małej, Inowrocław, Szymborze, Szarlej, Kruszwica, Mątwy, Tupadły, Markowice. Nawet gdy we Włoszech pisze „Hymn św. Franciszka z Asyżu“, aluzje do świerszczów polnych i muszek, kwiecica rumianku i wiatru — są przecież echem wrażeń, czerpanych niegdyś „na polach szymborskich, na miedzach przyorówkach“. Gdy pisał „Moją pieśń wieczorną“, znowu doszły do głosu „pejzaże kujawskie“... „Jarzębina rumieniła się suchy piasek podnosił się na drodze, którą od Mątew... (chodził za młodu poeta) do Markowic na odpust, wierny tradycji rodzinnej“. Z krajobrazu kujawskiego wydobywa Kasprowicz nie tylko potęgę w „Hymnach“, ale i liryzm:

„Pamiętam te piaski nad wodą
gromniczne dziewanny
i poszept tych fal nieustanny“...

Wędrowaliśmy dalej, przez Łojewo, Jaronty i Górę. W Łojewie nie zachowało się dziś nic z pamiątek po rodzinie Przybyszewskich. Nic, prócz wspomnień najstarszych ludzi,

wzmianki o nauczycielu Józefie Przybyszewskim (ojcu pisarza) w starej kronice szkolnej i tablicy pamiątkowej Stanisława Przybyszewskiego na budynku szkolnym.

Nagrobek Stanisława Przybyszewskiego na cmentarzu w Górze. Fot. St. Aleksandrowicz.



Z Łojewa udaliśmy się do Jaront. Tutaj, w najbliższym sąsiedztwie rodzinnej wsi, gościł Przybyszewski kilkakrotnie w ostatnim roku swego życia. W domu właściciela Jaront Józefa Znanieckiego przebywał pisarz w lutym 1927 r. gdy odwiedził Kujawy, aby wygłosić w Inowrocławiu odczyt o Kasprowiczu. Był tu w czerwcu tegoż roku 1927 i w listopadzie. Ten właśnie ostatni pobyt zakończył się 23. XI. 1927 r. nagłym zgonem pisarza.

Dwór w Jarontach już wówczas wprowadził nas w zdumienie nieprawdopodobnym zaniedbaniem i zniszczeniem. Do remontu nie kwapili się ludzie nowi, którzy zamieszkali we dworze już w czasach powojennych. Wśród dawnych mieszkańców czworaków żyje pamięć pogrzebu pisarza.

Ponad płaszczyznę krajobrazu góruje jasny kościół z niedużą wieżyczką, wylaniający się z ponad ciemnej, rozłożystej kępy drzew cmentarnych. To Góra i kościół, który tylokrotnie powracał w twórczości pisarza w różnej skali i w różnych tonacjach, urastając niejednokrotnie do wymiarów wielkiej świątyni, wypełnionej po brzegi głęboko wstrząsającą muzyką organową. Góra, którą sam Przybyszewski wyznaczył sobie na miejsce wiecznego spoczynku.

Skromny kościółek w Górze ma w rzeczywistości wnętrze nader ubogie.

W głębi cmentarza ponad gąszcz zieleni strzela smukła biała kolumna. Z za zieleni drzew i krzewów wychyla się cokół pomnika, z brązową płaskorzeźbą — portretem pisarza. Napis pod nią głosi:

Stanisław Przybyszewski
Piewca Wielkopolski
Meteor Młodej Polski
ur. 6. V. 1868 w Łojewie
zm. 23. XI. 1927 w Jarontach
na wieczny odpoczynek
złożony 26. IX. 1931 r.

Tu, w rodzinnej ziemi kujawskiej pochowano tego, który ongiś w Niemczech zyskał sobie miano „der geniale Pole”. Który po powrocie do kraju stał się dla wielu wyrocznią sztuki. Który, wchłonawszy elementy nowej estetyki i sztuki owych czasów modernizmu, stał się jego żarliwym inicjatorem, narzucającym swemu pokoleniu nowy stosunek do sztuki.

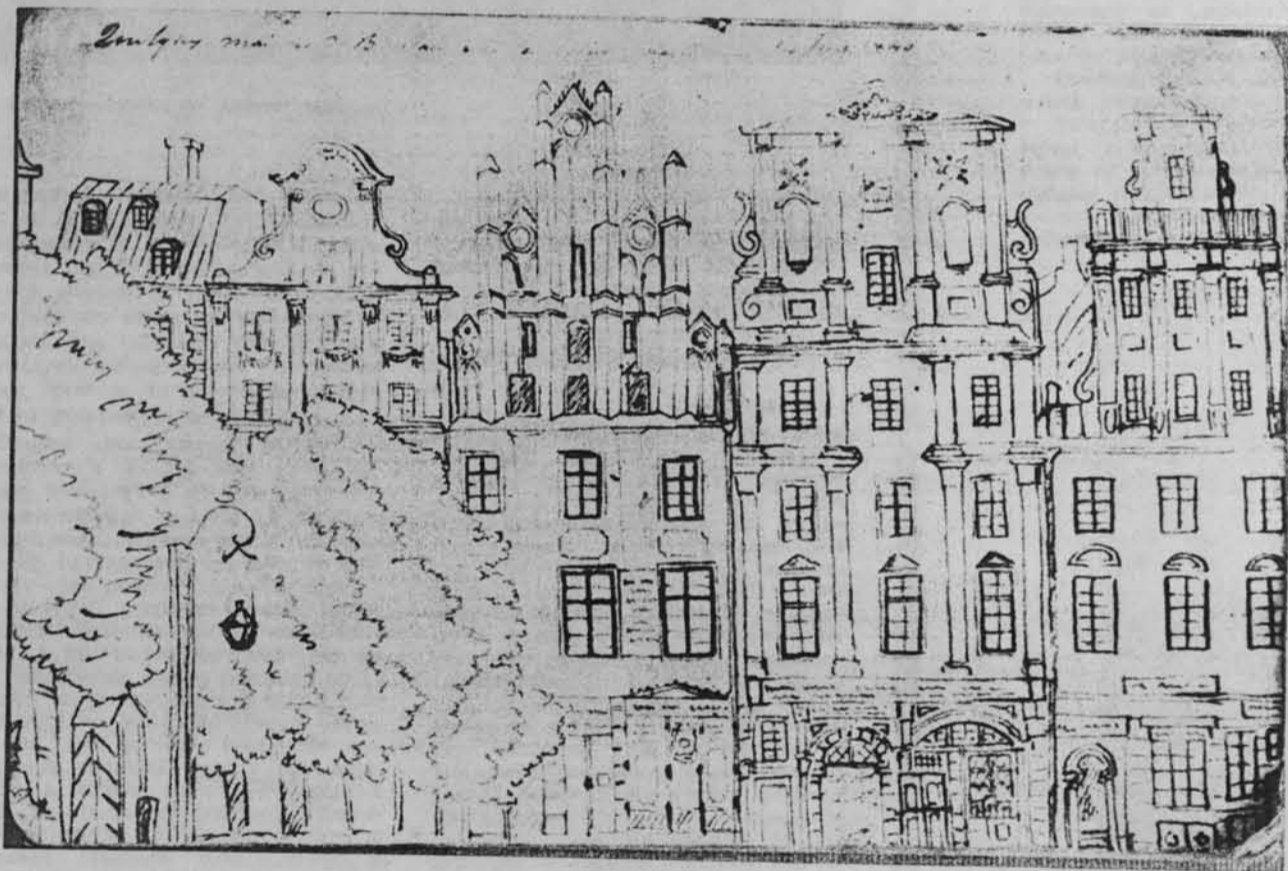
Rzecz charakterystyczna, że np. w Rosji Przybyszewski cieszył się sławą i poczytnością większą niż we własnej ojczyźnie. W Polsce jego twórczość dała mu sławę ogromną, lecz krótkotrwałą.



Tablica pamiątkowa na szkole im. J. Kasprowicza w Szymborzu k. Inowrocławia. Fot. St. Aleksandrowicz.

K O N I E C

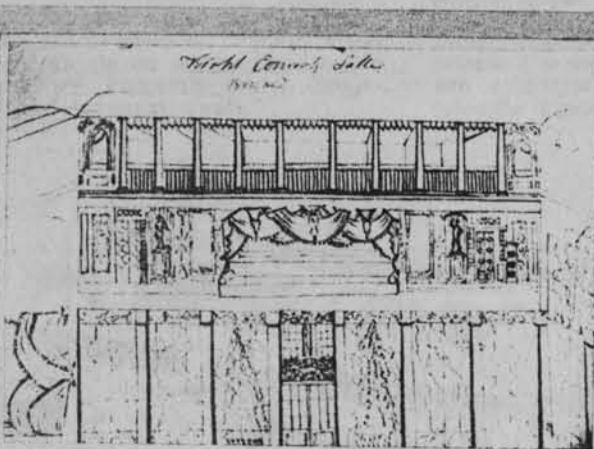
STARY SZKICOWNIK



U góry: Fragment rynku głównego we Wrocławiu

Wnętrze sali koncertowej Krohla we Wrocławiu.

Praga. Most Kralowy i Hradczany
Fot. J. Swiderski



Dzisiejszy turysta bierze na wyprawę aparat fotograficzny, pstryka tu, pstryka tam, potem sam lub przy pomocy zakładu fotograficznego wywołuje, powiększa, czasem nawet album zakłada...

Do wyjątków niestety zaliczyć można J. Bogdanowskiego i M. Korneckiego, którzy ze szkicownikami w prawicach przemierzają rozdroża wądoły i haszcze swej ojczyzny w poszukiwaniu nieznanych zabytków. Sztuka „szkicowana z natury” zamiera. A szkoda! Jakież bowiem nieprzebrane skarby zawarte są w rysunkach Wernhera z jego Topografii Śląskiej, w litografiach Pillera czy Napoleona Ordy, w drzeworytach dziewiętnastowiecznych czasopiśm... Oczywiście i fotografie są cenne, ale nie wszystko da się utrwalić na taśmnie.

Tymczasem leży przede mną niewielki zeszytek — notes, i wzrok mój przebiega rysunki odtwarzające podróż odbytą w latach 1840—41 przez Pawła Ciechanowieckiego. Autor ze wzruszającą starannością szkicował urzekające krajobrazy i wspaniałą architekturę Szwajcarii i Włoch oraz — na ostatniej stronie — skrupulatnie notował wydatki.

Kim był? Urodził się w r. 1815 — miał więc w chwili rozpoczęcia podróży lat 25. Pochodził z ziemiańskiej rodziny zamieszkałej na Białej Rusi. Z zawodu „obszarnik” z zamiłowań był historykiem — amatorem. Wraz ze swym szwagrem Konstantym Tyszkiewiczem (archeologiem) założył muzeum w Lohoj-sku.

Sam notatnik też ma swoje dzieje. Zawędrował do Francji wraz z córką Pawła Ciechanowieckiego — Jadwigą, późniejszą vicehrabiną Forsanz i dopiero niedawno powrócił po długotrwałej emigracji do kraju.

Nie jest to wybitne dzieło sztuki. Ołówkowe szkice pociągnięte później tuszem wykazują staranność, czasem nawet wdzięk — w gruncie rzeczy nie wykraczają jednak poza amatorstwo. Dla nas najciekawsze będą oczywiście szkice z terenu naszego kraju. Zeszytiki zawierają dwa widoki z Wrocławia, i oba są ważnymi dokumentami.

Pierwszy z nich przedstawia wnętrze sali koncertowej Krohla, drugi — datowany na 14. VI. 1840 — ukazuje fragment rynku. Na tym rysunku znajdujemy m. in. kamieniczkę (oznaczoną w wieku XIX numerem 14) z bardzo pięknym gotyckim szczytem maswerkowym, który oczywiście nie przetrwał do naszych czasów.

Na dodatek reprodukuje jeszcze widok z Pragi czeskiej — jest to niewątpliwie jeden z lepszych rysunków i odznacza się „nikiforowskim” urokiem w skrupulatnym oddaniu okienek Hradczan i Malej Strony.

skim, ani do terenów zajętych przez Polskę w 1938 roku. Niemniej jednak prepozytor Segray, w protokóle z wizytacji kościelnej, przeprowadzonej w roku 1700 na terenie dystryktu spiskiego, zanotował: „in toto hoc districti sunt omnes Poloni“. W rzeczywistości „omnes Poloni“ odnosiło się wyłącznie do warstwy chłopskiej, gdyż inia sta zamieszkiwane przez mieszczaństwo niemieckie, tzw. Sasów Spiskich, tworzyły osobny dystrykt, zaś wsie były w posiadaniu paru węgierskich rodzin magnackich. Brak polskich warstw szlacheckich i mieszczańskich utrudniał rozbudzenie się świadomości poczucia narodowego. Ponadto, porozbiorowa polska propaganda niepodległościowa,

z określeniem: „my górale, ale nasza mowa jest polska“; częściej jednak twierdzą, że mówią „po góralsku“, ale że ta „góralaska mowa“ „mało się różni“ od polskiej, natomiast znacznie — od słowackiej. Skarżą się, że „na Słowiańsku“ ich nie rozumieją i muszą tam mówić „po słowiacku“. O polskiej mowie istnieje opinia, iż jest „barz szumna“.

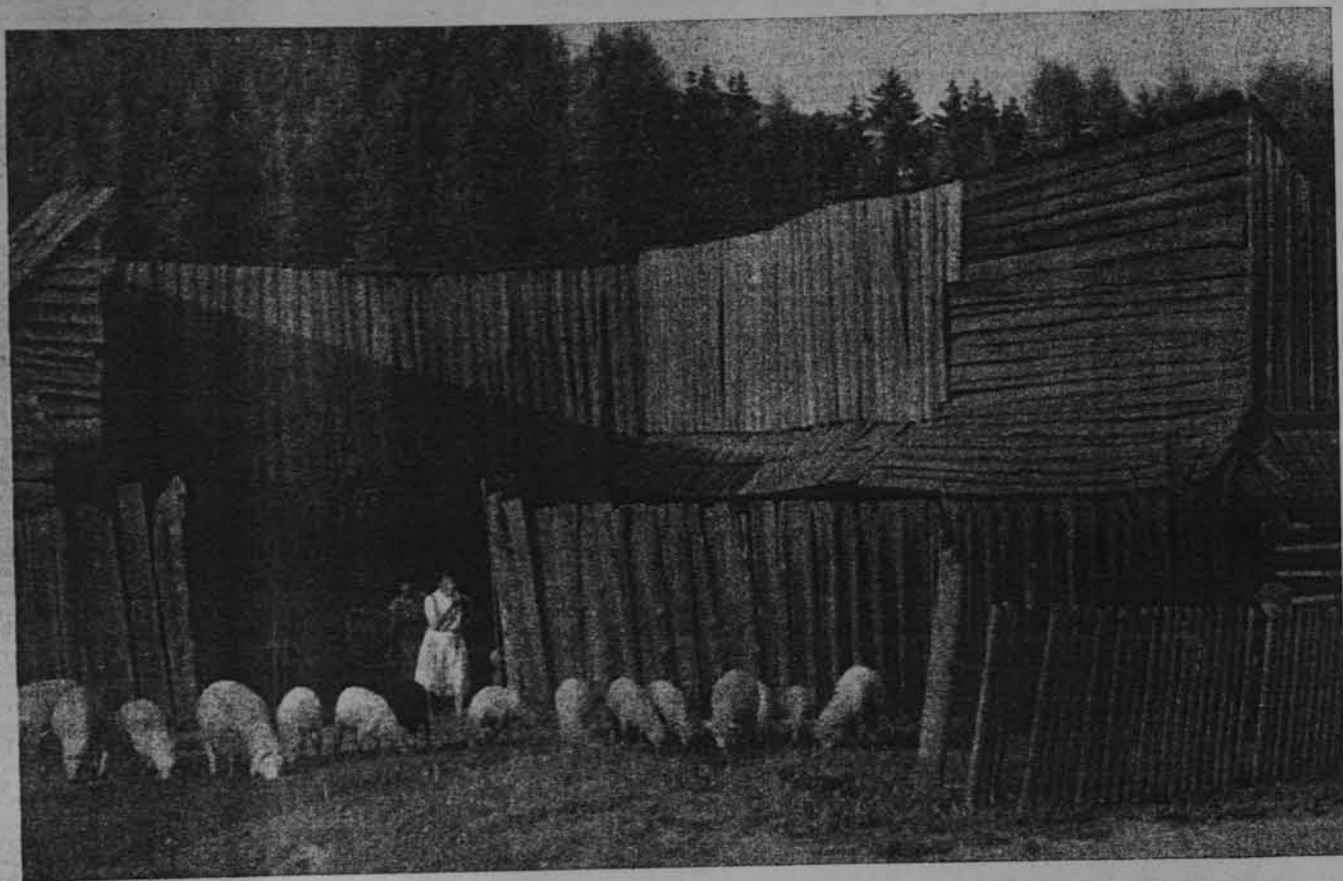
Pas osadnictwa niemieckiego ograniczał tu Polaków od Słowaków, co wpłynęło na niemieszanie się tych dwóch narodowości *) i na zachowanie się czystej gwary góralskiej, nieznacznie tylko skażonej naleciałościami słowackimi, niemieckimi czy czeskiemi. Te ostatnie związane są

zresztą głównie z funkcjonowaniem państwa (taki np. celnik czyli dróżnik). W chwili obecnej naleciałości słowackie słyszy się przede wszystkim wśród młodzieży, a to pod wpływem szkoły, w której językiem wykładowym jest wyłącznie słowacki, oraz kościoła. Oczywiście, brak nauki języka polskiego powoduje, że tylko część starszego pokolenia umie czytać po polsku i to głównie na książeczce do nabożeństwa.

W kościołach pieśni, kazania, modlitwy — i to nie tylko mówione przez księdza, ale i przez samą ludność — odprawia się w języku słowackim. Jedynie czasem, gdy kościół jest prawie pusty, kilka starszych zaczęło śpiewać „Zacznijcie

TURYSTOM IDĄCYM NA SŁOWACJĘ

JANUSZ
KAMOŃSKI



Po lewej: Przykład spiskiej zagrody w Trybszu pow. N. Targ. Fot. W. Tomaszewicz. Powyżej: Gazda ze Zdziaru. Fot. J. Kamocki.

Na obszarze strefy konwencyjnej, udostępnionej polskim turystom w Czechosłowacji, znajdują się trzy wsie: Jaworzyna, Podspady i Zdziar. Jaworzyna jest dawną osadą górniczą; Podspady jeszcze w końcu XIX wieku składały się tylko z karczmy, leśniczówki i tracza — toteż jedynie na podstawie obserwacji poczynionych w Zdziarze *) możemy się zapoznać z tradycyjną kulturą wsi na Spiszu Słowackim.

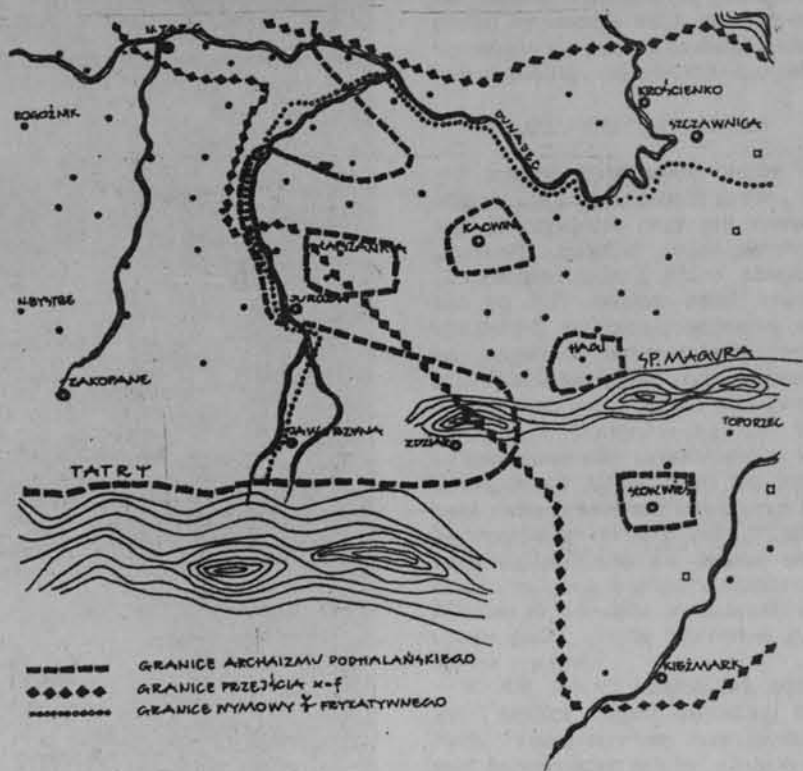
Ustalenie, jakiej narodowości są mieszkańcy Zdziaru, nastęrcza pewne trudności. Oficjalne statystyki uważają ich za Słowaków; natomiast mieszkający na południowym Spiszu — Słowacy nazywają ich Polakami. Sama zainteresowana ludność rozstrzyga tę sprawę najprościej: „my ani Polaki, ani Słowaki — my górale“. Tego rodzaju brak poczucia narodowego spotyka się dość często na kresach różnych narodowości, na terenach krzyżowania się rozmaitych wpływów kulturalnych i politycznych. Należy tu podkreślić, że Zdziar od momentu oderwania Spisza od Polski w XII wieku aż do 1918 r. wchodził w skład Królestwa Węgierskiego, a następnie po upadku Austro-Węgier przechodził we władanie Czechosłowacji, której decyzją Rady Ambasadorów przypadła większość Spisza, łącznie z około 40 wsiami. Nie należał też Zdziar do miast polskich, pozostających w latach 1412—1769 pod zwierzchnictwem pol-

stojąca na stanowisku braterstwa polsko-węgierskiego w walce przeciwko wspólnemu wrogowi, na ogół nie poruszała sprawy Spisza, w którym rządili Węgrzy. Władze węgierskie zaś, nie wchodząc w różnice etniczne, ludność polską Spisza od 1880 roku uważały za Słowaków. W związku z tym nadanie na Węgrzech, na przełomie XIX i XX wieku, pewnych swobód mniejszościom narodowym okazało się w rezultacie czynnikiem wynaradawiającym — w miejsce zupełnie obcej szkoły maddziarskiej przysła słowacka, o języku podobnym i zrozumiałym, a zarazem rozwijający się coraz silniej nacjonalizm słowacki starał się za wszelką cenę zesłowaczyć tereny pograniczne.

Cechą najbardziej charakterystyczną i dostrzegalną jest mowa, jaką posługuje się dana grupa ludności. Turysty przekraczający granicę czechosłowacką na obszarze strefy konwencyjnej, w większości wypadków nastawieni są na obcowanie z ludnością słowacką, a czasem nawet i czeską. Toteż zwracając się do ludności miejscowej wtracają w zdania przypadkowo zasłyszane słowa słowackie i czeskie, oraz często pytają: „jak to będzie po waszemu?“. Gdy odpowiedź pada w gwarze góralskiej — okazuje się, że z tymi „Słowakami“ łatwo się porozumieć...

Świadomość wspólnoty językowej u Zdziarzan jest nieco silniejsza niż narodowej. Stąd można spotkać się

Poniższa mapa, stanowiąca fragment mapy zamieszczonej przez M. Mateckiego w „Archaizmie Podhalańskim“ (Monografia polskich cech gwarowych Nr. 4 Kraków 1928 r.) obrazuje przebiegające przez teren Spisza granice najstarszych podhalańskich cech gwarowych. Ponadto zawiera ona rozmieszczenie wsi polskich (punkty czarne) oraz słowackich, ruskich i niemieckich (białe kwadraty). Spośród ważniejszych miejscowości (znaczonych kółkami) jedynie Kieżmark posiada ludność niepolską — obecnie słowacką, zaś do II wojny światowej — niemiecką.



KULTOWA FIGURKA KONIA Z WOLINA

Nie każdy zdaje sobie sprawę z faktu, że wykopaliska archeologiczne dostarczają nam wiadomości nie tylko o kulturze materialnej mieszkańców prastarych osiedli, ale także pozwalają nieraz wejrzeć w trudniej uchwytną dziedzinę życia naszych przodków — dziedzinę magii i kultu. Wśród setek i tysięcy zabytków opowiadających o codziennym życiu człowieka żyjącego w odległych czasach, archeolog znajduje od czasu do czasu przedmioty związane z wierzeniami religijnymi w postaci przedstawień bożków czy bardziej powszechnych amuletów noszonych przez naszych przodków dla zapewnienia sobie opieki bóstwa.

Takim znaleziskiem była zapewne, datowana na pierwszą połowę XI w., brązowa stylizowana figurka konika z Wolina, odkryta w czasie badań archeologicznych przeprowadzanych na wyspie w r. 1954. Postać konika przedstawiona jest dość schematycznie. Boki figurki pokrywają gęsto umieszczone obok siebie małe, wgłębione kółka, na grzbiecie natomiast wyraźnie zaznaczono siodło. W miejscach mniej narażonych na ścieranie, np. koło siodła, na podbrzuszu i zgięciu szyi, zachowały się ślady pozłacania. Konik był prawdopodobnie ustawiony na podstawie.

Figurka konika nabiera ciekawej wymowy w związku z poświadczonym przez źródła pisane kultem tych zwie-

rząt u Słowian pomorskich. Dziejopisarze niemieccy: Thietmar żyjący na przełomie X—XI w. i Herbord z w. XII, oraz kronikarz duński Sakszo Gramatyk także z XII wieku, wspominają o „świętych” koniach czczonych w świątyniach w Radgoszczy, Szczecinie i Arkonie, niezbyt odległych od Wolina. Thietmar pisze, że w Radgoszczy w czasie praktyk wróżbiarskich kapłani przeprowadzają pomiędzy grotami włócznie „z gestami pokory konia, którego uważają za coś największego i czczą jako świętość”. Herbord, opisując Szczecin wspomina, że przy świątyni Trzygława używano do podobnych praktyk powszechnie tam czczonego konia „nadzwyczajnej wielkości, tłustego, czarnej maści i bardzo dzikiego”.

W Arkonie, jak relacjonuje Sakszo Gramatyk, bóg Świętowid posiadał „osobnego konia białej maści”. Wyrwanie włosów z jego grzywy i ogona uważano za czyn bezbożny. Tylko kapłan mógł mu zadać obrok i dosiadać go. Na tym koniu, jak wierzą powszechnie na Rugii, Świętowid prowadził bój ze swymi wrogami.

Brązowa figurka konika ma swoją najbliższą analogię w stylizowanym drewnianym koniku znalezionym także na Wolinie jeszcze w czasie niemieckich badań archeologicznych przed II wojną światową. Figurka ta jest bardziej prymitywna od konika z brą-



U góry: Brązowy konik z Wolina, z XI w. Poniżej: Konik z kory z XI w. znaleziony w Opolu.

ELŻBIETA JASIEWICZOWA

zu. Wyrzeźbiono tu właściwie tylko głowę i piersi, nogi natomiast zaznaczone są jedynie dwoma kreskami. Uderza jednak bliskie pokrewieństwo stylowe tych dwóch figur — ta sama główka ze stojącymi uszami i wypukłą pierś. Podobieństwo to nasuwa przypuszczenie, że brązowa figurka konika jest produktem miejscowym.

Na ziemiach polskich figurki koni znamy jeszcze z wykopalisk we wczesnośredniowiecznym Gdańsku i Opolu. Szczególnie ciekawa jest rzeźba konika z kory znaleziona w Opolu. Konik ten posiada zaznaczone małymi srebrnymi czopkami oczy, a na piersi zasłonięty dwoma silnie umocowanymi taśmami srebrnymi, znajduje się wycięty ukośny krzyż, Symbolizujący słońce ukośny znak krzyża, specjalnie zasłonięty przed wzrokiem niepowołanych srebrnymi taśmami, ma niewątpliwie znaczenie magiczne. Konik z kory mógł być amuletem chroniącym właściciela przed nieszczęściem. Funkcję kultową figurki potwierdza także użycie przy jej zdobieniu metalu szlachetnego — srebra.

Odkryte w czasie badań wykopaliskowych figurki koni pozwolą pogłębić naszą wiedzę o kulcie zwierząt u wczesnośredniowiecznych Słowian.

wargi nasze”, ale młodzi już tego po polsku nie umieją. Co więcej, młodzież tak przywykła do mówienia głośno w języku słowackim różniąc w kościele, że nawet w domu „Ojciec nasz”, czy „Zdowaś” mówi po słowacku. Do ostatecznego ugruntowania się języka słowackiego w kościele, przyczynił się po wystąpieniu Słowacji do wojny po stronie Niemiec, zakaz władz policyjnych co do używania języka polskiego. Niemniej jednak należy pamiętać, że polski śpiew brzmiał w kościele zdziarskim do września 1939 roku!

Ciążenie do języka polskiego najlepiej podkreślają miejscowe piosenki, przekazywane z pokolenia w pokolenie, jak np.:

„Góral ja ci góral
Spod samiućkich Tatier
Ociec mnie wychował
Wykołysał wiater”

czy: „Ejże jeno baco nas,
Dobrych chłopców na zboj mas,
Jesce bvś ich lenych miał
Kieby jesz im sera dał”.

czy też zabawne mentowanie, wymieniające nazwę Krakowa:

„Na krakowskim moście
Świnia rogi zbiła,
Kogut noge złamał
Kura ząb wybiła”.

Niektórzy z językoznawców słowackich usiłują jednak udowodnić, że język ludności górnego Spisza jest gwara słowacka, „zanieczyszczona” jedynie naleciałościami polskimi. O ile jednak występowanie tu nieużywanych w języku słowackim dźwięków, jak np. „q” czy „ę” uznamy za zapożyczenie z języka polskiego, to i tak znaczną trudność przedstawiają dla powyższej tezy szczegółowe ma-

py dialektologiczne (patrz załączona mapka) wskazujące, że gwara Zdziaru i Jaworzyny mało różni się od zakopiańskiej, a innych wsi spiskich od nowotarskiej.

Ciekawie przedstawia się też sprawa pielgrzymek, tak charakterystycznych dla tradycyjnej kultury wsi. Obecnie, mieszkańcy Zdziaru nie mają żadnej miejscowości odpustowej, do której by masowo pielgrzymowali. Na odpusty chodzą do Lewoczy, czy innych pobliskich kościołów. Jednakże, aż do 1918 roku, czyli do stworzenia granicy polsko-czechosłowackiej, miejscem pielgrzymkowym była dla ludności Spisza Kalwaria Zebrzydowska. Stare obrazy Matki Boskiej Kalwaryjskiej można jeszcze gdzieś spotkać, jako pamiątki z pielgrzymek. Wśród ludności zachowała się też tradycja o chodzeniu do Częstochowy, co przypuszczalnie miało mieć miejsce jeszcze w okresie przedrozbiorowym, gdyż w późniejszym czasie dostanie się do Częstochowy, leżącej już w zaborze rosyjskim, było utrudnione. Należy tu zaznaczyć, że właściwa Słowacja ma swoje ośrodki pielgrzymkowe ściągające wiernych nie raz i z zagranicy (np. Nitra).

Zdziar posiada dwie główne cechy przyciągające uwagę Słowaków a także i Czechów: budownictwo i strój, zachowane w swej tradycyjnej formie.

W architekturze Zdziaru najczęściej spotykanym architektonicznym typem budownictwa jest zwarty czworobok, na który składa się dom, wraz z zabudowaniami gospodarczymi: do całości prowadzi tylko jedno wejście. Pośrodku czworoboku znajduje się małe, ciasne podwórze zwane „obora”. Dom mieszkalny zbudowany z dużych bali, zaciosanych na węgiel. Okienka małe. Pułap wsparty na soszbie; zdobionym w środku

sześcioramienną gwiazdą geometryczną. Wzdłuż soszby biegnie napis z nazwiskiem fundatora i datą wybudowania domu.

Tradycyjna architektura wystarczała aż do czasu ożywienia się ruchu letników. Możliwość uzyskania dodatkowego zarobku z odnajmowania mieszkania skłaniała do rozbudowy domów. Toteż około 1930 roku zaczynają się pojawiać pierwsze domy, tworzące wprawdzie nadal całość z budynkami gospodarczymi, ale z dodanym już gankiem pośrodku frontowej ściany domu, oraz z piętrem. Obok dotychczasowego wejścia pojawia się drugie, reprezentacyjne, prowadzące na ganek. Ostatnią fazę stanowią domy stojące już oddzielnie od zabudowań gospodarczych.

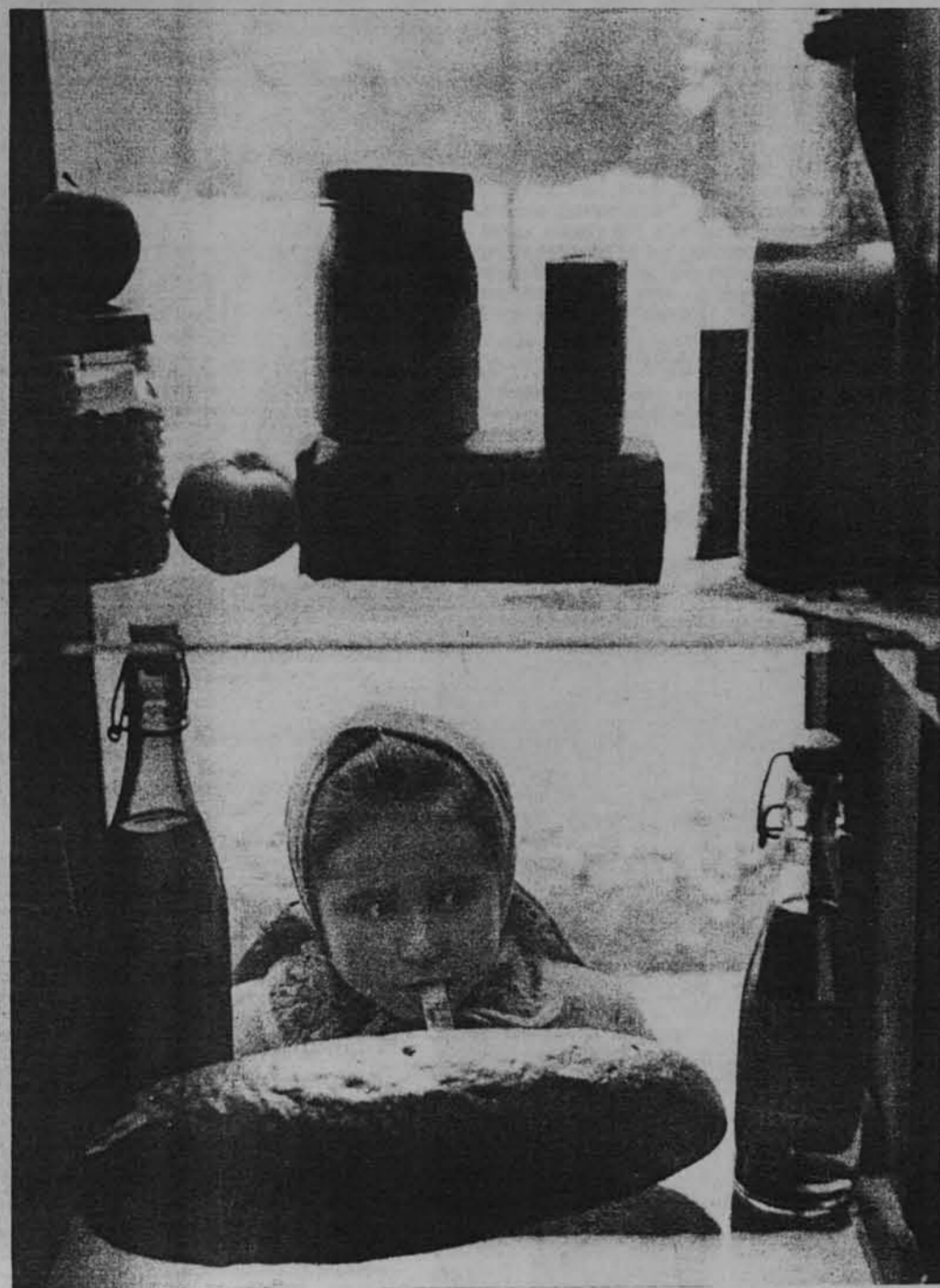
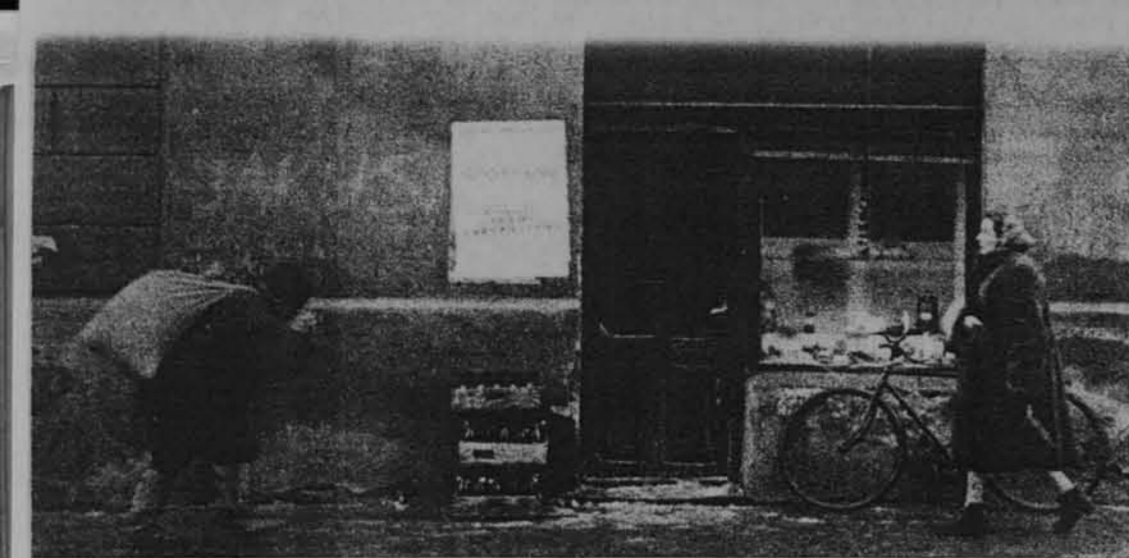
Zagadnienie przemian w budownictwie jest dla nas specjalnie interesujące, ze względu na silnie występujące wpływy polskie. Miejsco- cięśle nie umieli takich domów wykonywać, więc trzeba było znaleźć lepszych specjalistów. Nie szukano ich jednak na Słowacji, lecz w Polsce. Nowe domy budują cięśle z Jurgowa i Poronina, a miejscowi — uczą się dopiero od nich. Nic też dziwnego, że nowe budownictwo Zdziaru jest właściwie tylko odmianą tzw. „stylu zakopiańskiego”. Główne różnice, od razu rzucające się w oczy każdemu znającemu zdobnictwo w budownictwie podhalańskim — to często występujące w Zdziarze malowanie domów. Dawniej malowano je powszechnie, dziś zorganizowany dwa lata temu konkurs ożywił tę sztukę na powrót. Malowanie węglów — występujące zarówno w zdobnictwie starszym, jak i nowszym, według wszelkiego prawdopodobieństwa przyszło z terenów polskich.

Do archaicznych zabytków, dzisiaj już usuniętych z izby do sieni, należą malowane skrzynie na ubranie. Zielone, dwupolowe, o ornamentach kwiatowym, przypominające skrzynie sądeckie i gorczańskie oraz zielone o układzie trójdzielnym, z bogatymi motywami roślinnymi i z rogami obfitości lub kukurydzą w dolnych narożach, co jest specjalnie charakterystyczne dla skrzyniarskiego ośrodka nowotarskiego. Kupowano je na jarmarkach w Polsce.

Strój ludowy w Zdziarze jest wciąż jeszcze żywy i stanowi odmianę stroju spiskiego. Najbardziej uderzającą różnicą między nim a ubiorami Spisza polskiego, są bogate okrycia głowy „Brautów” czyli narzeczonych oraz zapożyczone od Słowaków, bogate zdobienia spodni kawalerów, tak bardzo odbiegające od spokojnych zdobin, którymi obszyte są spodnie tamtejszych gazdów.

I przy stroju spotykamy się znów z ciekawym zjawiskiem: z wyrobu półkożuszków — noszonych zresztą po obu stronach granicy i przyjętych przez polskich górali w II połowie XIX wieku od Słowaków — słynie na Słowacji Liptów. W Zdziarze jednak najwięksi eleganci chodzą w półkożuszkach zakupionych w Polsce, a przeważnie wykonywanych w Poroninie.

W ubiorze kobiecym charakterystyczna jest szeroka spódnica z barwnego tybetu, podobna do tej, jaką noszą na Podhalu i w odmianie trybskiej stroju Spisza polskiego. Tybety takie były ongiś pospolite w Austro-Węgrzech i do Galicji sprowadzono je z Czech i Austrii. Pomimo to do Zdziaru materiały te dochodziły... przez Polskę.



FOT. WOJCIECH PLEWIŃSKI I ZBIGNIEW GUCWA

SKLEPIKI



SKLEPIKI



SKLEPIKI MARIA LECHOWSKA

Małe, ciemne i nieśmiałe, wciśnięte skromnie w mury kamienicy. Kilka stopni prowadzi w dół do drzwi, które otwierane trącają wiszący nad nimi dzwonek. Nim oczy przywykną do zmroku, nozdrza wciągają charakterystyczny zapach małego sklepiku. Zapach nafty, kiszzonej kapusty i ogórków, nadpsutych jarzyn, suchych precli. Kupić tu można niewiele więcej.

Inny rodzaj to sklepy-kramy. Daleko im do dyskretnej świetności poprzednich. Mieszczą się najczęściej w drewnianych przybudówkach przyklejonych jednym bokiem do muru kamienicy. Sklepowa lada stanowi jednocześnie wystawę. Porozkładane w skrzynkach stoją na niej zaleźnie od

pory roku owoce, ogórki w słojach, cukierki, spłowiałe paczki papierosów, można tu kupić bułki, czasami nawet z kiełbasą. Wypuszczona przez otwór w dachu rura od piecyka dymi podczas chłodnych jesieni, mroźnych zim i rozchlapanych wiosen. Dym snuje się wśród murów kamienicy.

Ongiś, w czasach dzieciństwa sklepy owe posiadały dla nas urok „domu z piernika”.

— „Idź do Dębszczanki po śliwki bo są tańsze!” Lotem ptaka biegło się na róg ulicy i wpadało po schodkach do mrocznego sklepu. Obok lady można było stać godzinami z ustami pełnymi

kanolów za 5 groszy i gapić się na muchę spacerującą po krętej drodze precla zwanego też „sztanglem” lub „bajgłem”. U Dębszczanki były nie tylko tanie śliwy. Do mrocznego sklepu, który kształtem przypominał długą sień, zwykli się schodzić kumoszki. Gościnnie właścicielka sklepu w przypływie dobrego humoru częstowała je wodą spod ogórków. Przy tym płynię o specjalnym smaku „rajcowano” się, ile wlezie, z satysfakcją nicując życie sąsiadek. Najciekawszą osobą znaną wszystkim mieszkańcom ulicy był Ryba, z zawodu rybak. Ryby nie widziało się nigdy w stanie trzeźwym. Po pijanemu wyżywał się w przemowach, które wygłaszał z drabiny stojącej na podwórzu

kamienicy. Ryba trudnił się też zabijaniem kotów i psów, a tłuszczeniem tych zwierząt — podobno doskonałym lekarstwem na choroby płucne — pokątnie handlował. U Dębszczanki mówiło się, że „tego Rybę to niebo skarże”. Kramik Babci Samueli, zwanej po prostu babcią Salcią, sływał z zawsze świeżych makagigi. Ulubiony przysmak miał opinię „nieba w gębie”. W małym sklepiku Salci można było kupić — niezależnie od pory roku — sodową wodę, kiszzone ogórki, kolorowe cukrowe gwizdki, ciastka-gwiazdki z dziurką, przyprószone cukrem. W stojącej pod ladą beczce przykrytej gazetą kisiła się kapusta. Na środku kramiku u sufitu wisiała lampa naftowa o chy-

botliwym płomienu. Babcia Salcia była ubrana w kilka hałek, wdziewała na siebie również parę bluzek, co przy niskim wroście nadawało jej przysadziłość snopka zboża. Spód zawiniętej chustką głowy, małe oczy weselo uśmiechały się do ludzi. Uśmiechały się również i wtedy, gdy zagniewanym głosem strofowała dwie swoje wnuczki. Babcia Salcia była dobrze znana nie tylko na ulicy, przy której mieścił się jej kramik, ale nawet w całej dzielnicy. Popularność zawdzięczała swojemu gwałtownemu charakterowi. Wykorzystywały to wszystkie urwisy dzielnicy, drażniąc ją pytaniem: „Babciu, jak się ma Gustek?”, albo „Francio” czy inny. Pytaniem tym przypominali czasy jej

podobno bogatej w przeżycia młodości. Krewka babcia łapała za kij lub miotłę i gonila uciekających, ile jej sił starczyło w nogach, zostawiając sklepik własnemu losowi. Przy tej samej ulicy mieścił się również sklep zegarmistrza — dziwaka. Różnił się wyglądem od kramiku babci Salci i Dębszczanki, posiadał bowiem oszkloną wystawę. W dużym szklannym pudle na wystawie harcowały od świtu do nocy — białe myszki. Gonily się po specjalnie dla nich zrobionej drewnianej drabince, piły mleko z małego naczynka, sadowiły się czasami w koryzki, wycielonym wata, stojącym w jednym z kątów ich oszklonego domu. Długie wnętrze sklepu podzielone było

w połowie drewnianym przepierzeniem pogłębiającym mrok. W jednym z kątów, koło wystawy, na umocowanym do sufitu kółku huśtała się papuga. A za przepierzeniem — rzadko kiedy widoczna — kryła się wiewiórka z przyciętym końcem ogona. Czasem tylko gniewnie biegła pod ladą. Na wyciągniętej w jej kierunku ręce rzucała się, kłusząc dotkliwie. Zegarmistrz, niski, szczupły człowieczek, z jawną niechęcią przyjmował zegarki do naprawy. Jego ulubionym zajęciem było budowanie z zapalek precyzyjnych stateczków, ołtarzyków, krzyży, które to dzieła, umieszczone we flaszkach, dekorowały później półki sklepu. W czasie pracy półgłosem roz-

mawiał ze swoimi wychowankami, którzy na widok klienta kręcili się niespokojnie. Tylko myszy zachowywały się obojętnie przyzwyczajone do małych gapiów śledzących ich życie, z nosami przyklepionymi do szyby wystawowej i otwartymi buziami. Nie ma już babci Salci, Dębszczanki ani Zegarmistrza-dziwaka. Nie ma też ich sklepików. Przeszły istnieć wraz ze śmiercią swoich właścicieli. Małe sklepiki-kramy mocno związane z życiem tych ludzi, rozsiane po wszystkich miastach i miasteczkach — zanikają. Na ich miejscu powstają jasne, przestrzenne sklepy-magazyny, w których ludzie w białych fartuchach po ośmiu godzinach pracy spieszą do własnego życia.



BYŁBYM TURYSTA...



TURYSTA

Choć zawsze w górach chwyta mnie migrena,
Byłbym turystą i narażał życie,
Gdybym tak wiedział, że na każdym szczycie
Czeka mnie jedna flaszka Souveraina.

CO ZNALEZIONO W GROBOWCU TUTENKHAMENA?

Gdy w obecności władz areopagu
Otwarto trumnę, której bogi strzegą,
Nie znaleziono mumii w sarkofagu,
Ale litrówkę „Perły” Baczewskiego.
Potem otwarto flaszkę wśród wesela,
Lecz gdy po wódce każdy przegrzył figę,
Carter, choć Anglik, upił się jak Bela
I do Londynu powrócił przez Rygę.

NARCIARZE

Na śniegu przystanęli zziębnięci narciarze,
Mróz im rumieńcem wypełnił na twarzy.
Gdy jeden z nich nagle wyjął butelkę,
Gdy lęknięli sobie kropelkę,
Orzekli: Baczewski — ten wszystkim wygodzi,
Bo w zimie grzeje, a w lecie chłodzi.



ziemia NIKT JESZCZE O TYM NIE PISAŁ

— to winietka, która począwszy od bieżącego numeru zastąpi dotychczas stosowany napis „ZIEMIA materiał publikowany po raz pierwszy”. Niektórzy bowiem z naszych Czytelników mylnie go rozumieli, sądząc, iż jedynie opatrzone tą winietką artykuły są oryginalnymi pozycjami w numerze. Reszta zaś to... przedruki (!). Tymczasem w rzeczywistości zarówno dawnym jak i nowym napisem opatrujemy tylko takie artykuły i notatki, które stanowią odkrycie naukowe i zawierają materiał niepublikowany dotychczas nigdy ani w literaturze popularnonaukowej ani w ściśle fachowej. W wypadku natomiast przedruku, zgodnie z przyjętymi powszechnie zasadami, informujemy o tym Czytelników, podając równocześnie źródło, z którego daną rzecz zaczerpnięto.

Reklama, to odrębna i bardzo dziś już obszerna dziedzina twórczości zatrudniająca psychologów, literatów, grafików, fotografów, filmowców, no i oczywiście handlowców. Jak we wszystkich poczynaniach ludzkich, tak i tu mamy do czynienia z różnymi poziomami. Od subtelnej i kosztownej, operującej różnorodnymi środkami perswazji, do prymitywnych, grubymi nićmi szytych poczynaniach amatorów — zachwalaczy. Reklamy poszczególnych firm czy wyrobów przeżywają swój rozkwit, okres pomysłowości, przechodzą kryzysy i przemiany, starzeją się i giną. Czasami nawet nagłą śmiercią. Takie umarłe reklamy żyją potem jeszcze przez czas pewien we wspomnieniach swego pokolenia. Dla reszty jednak są już tylko nic nie mówiącym dźwiękiem lub obrazkiem. Czy nie warto by czasem przypomniać niektóre z bardziej ongiś znanych lub bardziej dziwacznych i śmiesznych ogłoszeń? Znajdziemy je w starych czasopiśmiech lub na ostatnich stronach takich przedwojennych wydań powieści. Zwróćmy na nie uwagę, a natrafimy na nielada osobliwości.

Zeszłego roku jeden ze znajomych przyniósł do redakcji cienką podłużną książeczkę. Na stronie tytułowej uśmiechał się starszy pan w sztywnym kołnierzyku. Uśmiechał się w stronę trzymanego w ręku kieliszka, był to bowiem reklamowy prospekt wytwórni J. A. Baczewskiego, wydany we Lwowie w roku 1924. Ale daremnie szukalibyśmy w nim owego nudnego, suchego stylu, w jakim usiłują nas dziś kokietować ogłaszające się w kinie, tramwaju czy gazecie spółdzielnie i „domy handlowe”. Prospekt utrzymany jest w nastroju tzw. „szelmowskiego humoru”, a operuje zarówno rysunkiem jak i wierszem. Na szczególną uwagę zasługują w nim, obok stylu, te szczegóły i realia reklamowych chwytów z przed 34 lat, które w tak przezabawny sposób dziś się zdezaktualizowały.

Po krótkim, rzeczowym omówieniu historii fabryki i rozmachu jej produkcji następują rysunki i wiersze. Oto parę z nich:

Dwójka zziębniętych narciarzy we wręcz nieprawdopodobnych kostiumach (bo tak to chyba można nazwać) narciarskich. Łydki spowite owijaczami, kominiarki, bryczesy. Na horyzoncie „Souverain J. A. Baczewski”. Na innym obrazku dwu taterników (?) holuje na szczyt za pomocą linki jakąś panią w łyżwiarskim stroju. Proszę zwrócić uwagę na sztylpy, „kurtki polowe”, kaszkieciki, no i pozę. Dalej odwiedzamy z angielskim archeologiem piramidę Tutenkhamena i na koniec ulatujemy w przestworza sterowcem „Perła”, aby zmierzyć się z napowietrzną flotą, jak gdyby żywcem wyjętą z ówczesnych powieści „z niedalekiej przyszłości”.

Niestety. Kiedy w 1939 roku „zahuczał walką nadpowietrzną świątek”, spotkanie biednego Zeppelina z wroga eskadrą miało wynik zupełnie odmienny, niż to przewidywał naiwny panegirysta z prospektu. Trafiona bombami Rafineria Spirytusu, Fabryka Wódek i Rumu J. A. Baczewskiego na Zniesieniu — płonęła. W dzień słup dymu wisiał nad polami jak olbrzymi grzyb. Z zapadnięciem zmierzchu przemieniał się w drgającą ścianę ognia, na tle której czerniała sylwetka kopca Unii Lubelskiej. Przez dobrych parę dni „Baczewski” dogorywał. Aż wreszcie słup ognia i dymu zbieleł, skurczył się i zniknął za horyzontem. (L)

ZŁOTO POD KRYWANIEM

...W zamiarze wnijsia na Krywań wyszedłem z wsi Ważca z rana dnia 12 Sierpnia 1805 roku. Najprzód przechodziłem przez liczne górskie polany, z początku nieznaczne, dalej coraz przykrzej w górę, a ciągle prawie borową, dosyć wygodną drożyną. W pięć godzin na wysokości, gdzie już lasy ustają, a tylko się jeszcze po skałach płaszczy, wyszedłem na najpierwszą Krywanu upłazę, znacznie na południe wysuniętą. Jest to Jama, czyli Jamiec Krywanu od góralów zwany, cztery tysiące kilkaset stóp wysokości. Od wschodu leży Basta Szczerbska, pod którą rozlega się wielka zielona Plasa czyli jezioro na szczybskim gradku. Za bastą wysuwa się góra Złomisko, a zatem jeszcze się wyżej wznosi stary Hendel. Idąc dalej w górę, na wysokości 960 sążni, spotykać z wielką pracą

kowane w granitach różne lochy, czyli stole (tzn. sztolnie — u. wł.) Są to dawne górnicze wyroby na złoto, które tu znajduje się samorodnie w kształcie listeczek lub gruzełek. Kwarce robi z tego kruszczy złoto i ciągnie w głąb skały żyłami. Kierunku żył dostrzegać nie mogłem, bo stole wszystkie częścią zapadły się, częścią śniegami i lodami są zawałone.

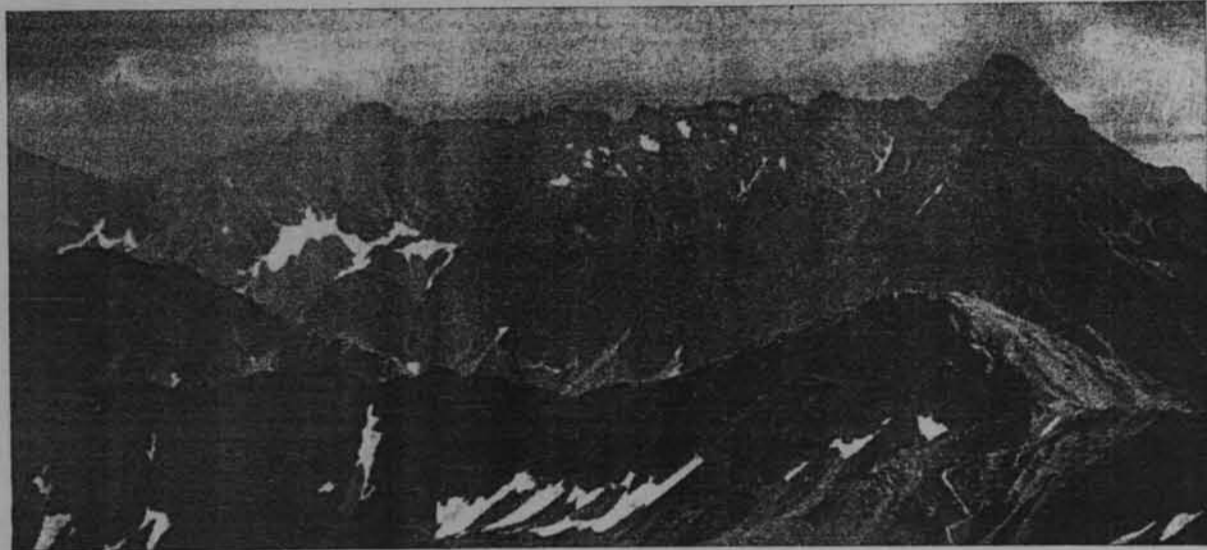
Zakład tutejszej kopalni robiony był z niezmiernym kosztem. Od dołu Krywanu, to jest od wspomnianych polan, droga ciągle kuta w granicie, aż do tutejszych robót. Tą drogą przenoszono, na koniach drzewo do stępiowania stoli potrzebne. Wnoszono wszelkie narzędzia górnicze, zgoła żywność i wszelkie dla pracujących ludzi potrzeby. Górnicy tu najwięcej trzy miesiące tylko do roku pracować mogli. Tyle trudności i przeszkód

w robotach, tyle kosztu na prowadzenie do takiej wysokości drzewa i wnoszenie żywności dla górników zaczęły przenosić nad zysk wydatki i przymusiły opuścić kopalnię. Kilka razy wyroby te przez dwór i przez różne towarzystwa były odnawiane; lecz zawsze kończyło się na niewyrównującym wydatkowi pożytku.

Są także w Krywanu wyroby żył rudy czerwonej antymonu.

Od tych kopalń złota, jeszcze pozostaje czwarta część góry do ostatniego jej wierzchołka. Idąc prosto, można by wejść w godzinę czasu; ale bardzo przykro. Lecz idąc grzbietami .. w dwie godziny czasu z wygodą stanąłem na najwyższym Krywana cyplu“...

(Wyjątek z anonimowej, niedokończonej relacji pt. „Zarysy Karpatów i Tatrów“, opublikowanej przez Fr. L. Dmochowskiego w „Muzeum Domowym“, Warszawa, r. 1839).



Fot. M. Kornecki



Krywań wg dziewiętnastowiecznej ryciny B. Stęczyńskiego

„DETALE” ARCHITEKTONICZNE

Jeden z naszych współpracowników, będąc w Chojnie (miasto powiatowe w województwie szczecińskim) — wykonał reprodukowane zdjęcie portalu zniszczonego w czasie działań wojennych kościoła Panny Marii, dzieła znanego architekta Henryka Brunsberga z XV wieku. Chcąc się bliżej zorientować w problematyce tego zabytku, sięgnęliśmy do literatury fachowej. Jakież było jednak nasze zdumienie, gdy w cennej skąd inną książce „Elementy i detale architektoniczne w rozwoju historycznym“*) — pod fotografią tego samego portalu, odnaleźliśmy zupełnie inny podpis.



Oczywiście rozumiemy, że tego rodzaju „detale” nie mają znaczenia „dla sztuki” — ale jednak niewątpliwie mają je dla czytelnika...

Oprócz tego dziwił nas jeszcze jeden podpis, zamieszczony pod fotografią fragmentu gmachu Collegium Maius w Krakowie. Fragment ten (wykusz wraz z całą nadwieszoną arkadą) wzniesiony został bowiem nie w wieku XV, lecz za życia obecnego pokolenia, około roku 1900.

Zachęcamy posiadaczy książki do poprawienia usterek.

(a)

„Elementy i detale architektoniczne w rozwoju historycznym“, Wyd. Budownictwo i Architektura, Warszawa 1956.



DOKOŃCZENIE ZE STRONY 15

Niewątpliwie brak wyrobionego poczucia narodowego u Spiszaków, tak samo zresztą jak i u Orawiaków, powoduje ich bierność i skłonność do opowiadania się po stronie bogatszej. Przytoczone powyżej fakty nie oznaczają bezwzględnej przynależności etnicznej do Polski¹⁾, ale razem pozwalają na stwierdzenie naturalnego ciężenia kulturalnego tych terenów do Polski. Jest to o tyle charakterystyczne, że Zdzianka leży już poza przełęczą zdziańską, a więc poza terenem bezpośrednio ciężącym geograficznie do Polski.

PRZYPISY

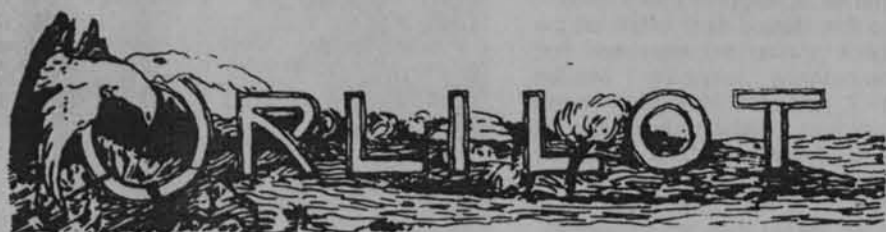
¹⁾ „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” (W-wa 1880—95 r.) informuje, że „Zar al Zdzar węg. Isdjar, niem. Morgenrothe, wł. w hr. spiskim, pow. popradzkim w Tatrach, wśród skalistej i nieurodzajnej okolicy, ma kościół katol. paraf. 1729 mk. Na obszarze wsi znajduje się w pasmie tatrzańskim przełęcz zw. zdziańska, przez którą przechodzi droga bita, prowadząca od granicy Galicji do Bieli i Kesmarku. Wieś istniała już w roku 1286”.

²⁾ O rozgraniczeniu między Polakami a Słowakami na terenie Spisza pisze słowacki uczonec dr S. Czambel w „Slovenska rec a jej miesto w rodzinie słowackich języków” w Turcianskom Sv. Martine 1906, s. 70.

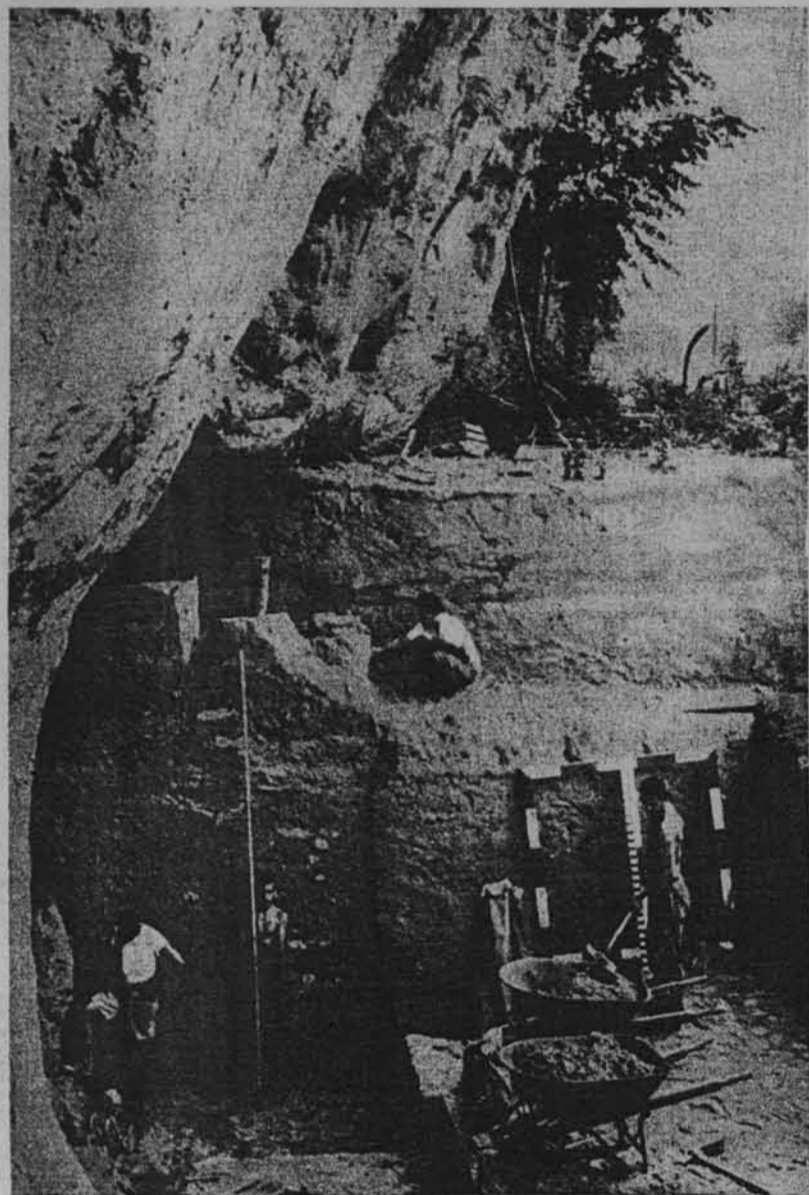
³⁾ Należy żałować, że Edyta Starkówna pisząc swój „Strój Spiski” (wydany w 1954 r. przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze) nie mogła uwzględnić stroju spiskiego występującego na południe od granicy. W powyższej pracy można znaleźć tylko parę wzmianek o tych okolicach — głównie o ubiorze Zdzianzan.

⁴⁾ Do dziś nie zostały sformułowane jakiegokolwiek pewne kryteria przynależności narodowej. Na przykładzie Szwajcarii widzimy, że nawet język nie daje tu gwarancji.

2'58 wr 4(18)



ARCHEOLOGIA



wych środków komunikacji jak samochód czy motocykl, nie może objąć opieką całego kraju. Niekiedy przygodny znalazca otoczy opieką odkryty zabytek. Przykładem może być tu kierownictwo prowadzonych na Wiśle pod Sandomierzem prac. Znalezione w korycie rzeki wielką wczesnośredniowieczną łódź drewnianą zabezpieczono, a po wydobyciu z wielkim nakładem wysiłku przetransportowano do krakowskiego muzeum archeologicznego. Opiekują się też zabytkami szkoły, zbyt często jednak kierownicy ich porzyskają na włączeniu znaleziska do szkolnych czy prywatnych zbiorów. Tak więc obok poważnych badań archeologicznych, które się w Polsce prowadzi, wiele okazów niszczy lub też w najlepszym wypadku uchodzi uwadze uczonych. A mogą to być czasem odkrycia naprawdę niezwykle! Choćby taki Biskupin. Ten wielki gród, obiekt o pierwszorzędnym znaczeniu naukowym, badany później systematycznie przez wiele lat przed i po wojnie, został odkryty przez robotnika kopiącego torf. Robotnik ów zawiadomił nauczyciela o zauważonych zmuszających belkach, ten z kolei dał znać poznańskiemu muzeum archeologicznemu i zaczęły się badania, które trwają do dziś. A każdy sezon wykopaliskowy przynosi tu nowe odkrycia.

nik i przekazów pisanych dla czasów wcześniejszych niż wiek X. O dawniejszym okresie naszych dziejów i kultury historia pisana milczy. Natomiast tysiące znajdowanych zabytków świadczą o istnieniu różnorodnego i bogatego w swych przejawach życia na naszych ziemiach w epokach bardzo nawet nieraz odległych. Zabytki te, po ich wydobyciu z ziemi dokonany w sposób fachowy, można dzięki wypracowaniu naukowych metod dokładnie datować.

W Polsce badania archeologiczne prowadzi Polska Akademia Nauk, muzea, a w wypadku, kiedy zabytkom grozi zniszczenie — konserwatorzy zabytków. Instytucje te utrzymują kartoteki i archiwa znalezisk, inwentaryzują, zbierają wiadomości o zabytkach w terenie oraz organizują wystawy i pokazy. Informują o wartych obejrzenia zabytkach na danym terenie, publikują przewodniki i katalogi, a często i opracowania pradziejów danego regionu.

Archeologiczne poszukiwania mają w sobie posmak przygód poszukiwaczy skarbów. Ilek daje emocji dotarcie po długich nieraz poszukiwaniach do znalazcy skarbu monet rzymskich czy arabskich (bo i takie choć bardzo rzadko znajduje się u nas!) monet, które kiedyś znalazły się na naszych ziemiach drogą wy-

Kiedy, brnąc przez zalane wodą łąki i unikając dróg zmienionych przez jesienne deszcze w istne bagno, dotarłem wreszcie do pierwszych domów wsi, miałem dość wszystkiego. Zapal, który zwykło się przypisywać młodemu „badaczom”, opuścił mnie zupełnie pod wpływem wiatru, deszczu i kilogramów błota, uwieszonego u podeszew „wibramów”. Kto jednak wędrował jesienią lub wczesną wiosną po bezdrożach Kielecczyny, ten mnie zrozumie. Toteż minęło sporo czasu, nim wyzwoliwszy się z obszernych fałdów peleryny i usiadłszy przy piecu z kubkiem gorącego mleka w rękach, rozpocząłem z gospodarzem rozmowę.

Szukałem przedhistorycznych kopców-mogil, wzmiankowanych w literaturze archeologicznej dotyczącej tych okolic. Okazało się zresztą zaraz, że o kopcach chłopci nic prawie nie wiedzą, tyle że ojciec, któremu „zmarło się” kilka lat temu, coś im tam wspominał. Wpadłem więc na ślad. Trzeba pytać między innymi, tylko oni mogą coś pamiętać. Przecież grupa dość dużych kurhanów nie mogła zniknąć nie zauważona! Wykorzystując tedy chwilową przerwę w deszczu ruszyłem w głąb wsi. Rozpoczęła się wędrowka od domu do domu. Nie miałem jednak szczęścia. Mimo długich tłumaczeń nikt jakoś nie mógł zrozumieć, o co mi chodzi. Starano się też możliwie szybko zmienić temat rozmowy, stwierdziwszy urzędnie pogodnie, że „jak tak w książce napisali —

no to kopce musiały być, a teraz jakoś nie ma”. Nie ma choć były, jakże to możliwe? Ano, jakoś nie ma! Dopiero w jednym z ostatnich domów po rodzinnej naradzie wywołano z przyległej izby głuchawego mocno staruszką, który przekonany ostatecznie paczką „Sportów” przypomniał sobie, że „za ruskich jeszcze”, a może nawet i po I wojnie, sterczały jakieś kopce na pobliskim pagórku za wsią. Ale potem orało się tam, a kopce przeskadzały. No to pewnie się rozsypało, albo zaorało? Ano pewnie... Otóż i tajemnica wyjaśniona. Dziś już nikt powiedzieć nie potrafi dokładnie, gdzie stały owe kurhany.

Oczywiście nie wszystkie wypadki archeologiczne kończą się tak żałośnie, jak w opisanym wypadku. Zdarza się, że zawiadomiony o odkryciu archeolog powraca z bogatym łupem, który może się stać naukową sensacją. Nierzadko jednak po przybyciu na miejsce okazuje się, że zabytki zostały zniszczone z powodu obojętności przypadkowych odkrywców lub ciekawości poszukiwaczy domniemanych skarbów. Przytoczony wyżej przykład zniszczenia kilku kurhanów nie jest niestety wypadkiem odosobnionym. W podobny sposób zniszczono już i niszczy się w dalszym ciągu szereg zabytków naszej najdawniejszej historii. Archeologiczna służba konserwatorska i muzealna, nieliczna (jeden konserwator-archeolog na dwa trz. województwa!) i pozbawiona najczęściej takich podstawo-



Archeologia, zajmując się badaniem najstarszych dziejów naszych ziem, opiera się w pierwszym rzędzie na znajdowanych zabytkach, przedmiotach wytwarzanych i używanych w pradziejach przez człowieka. Brak bowiem w Polsce kro-

miany handlowej między plemionami.

Czy próbowaliście sobie zdać sprawę z tego, że na niejednym zwiedzonym przez was grodzisku stał kiedyś za pierwszych Piastów, potężny warowny gród, którego śla-

dem są dziś resztki ziemnych wadłów? Ze kopiec na szczycie wzniesienia lub ukryty w głębi lasu, to może mogła nieznanego nam, zapomnianego wodza rodu czy plemienia? Spróbujcie wyobrazić sobie się na chwilę w czasy, kiedy u wejścia do ciemnych jaskiń, tak licznie rozsiadanych w Jurze Krakowskiej płonęły ogniska łowców niedźwiedzia jaskiniowego, których krzemienne narzędzia i broń do dziś znajdujemy w naszych grotach. Ileż tajemnic kryje w sobie piaszczyste wydmy i płaskie wzgórza nad brzegiem rzek i strumieni, na których powierzchni znajdziemy dziś tylko ułamki glinianych naczyń, węgle i kości ludzkie czy zwierzęce. Może w głębi ziemi znajduje się osada z epoki kamiennej albo spoczywała setki urn-pomielnic z epoki brązu?

Oto pole do popisu dla wszelkiego autoramentu badaczy-amatorów, zaś w pierwszym rzędzie dla krajoznawców, turystów, uczestników harcerskich wycieczek i obozów. Oni to właśnie często mają możliwość dokonywania odkryć archeologicznych podczas swych wypraw. Ułatwią zaś sobie zadanie, nawiązując kontakt z muzeum czy inną placówką naukową działającą na danym terenie. Instytucje te zawsze z radością witają chęć współpracy i pomocy. Kto wie, czy dzięki waszemu odkryciu badania archeologów nie posuną choćby o krok, a może o milę wiedzy o przeszłości naszej ziemi? Jednakże podczas prowadzonych na własną rękę badań i poszukiwań trzeba pamiętać, że zabytek wyjęty z miejsca, gdzie przebywał przez setki czy tysiące lat, może łatwo ulec uszkodzeniu, a nawet zupełnemu zniszczeniu. Zaś samodzielne prowadzenie wykopaliśk jest zupełnie niecelowe, gdyż dopiero znajomość otoczenia zabytku, warstwy, w której on się znajdował, pozwala na określenie jego chronologii i roli w czasach użytkowania.

Przeciwnie zaś: wykopywanie zabytków bez dokonania odpowiednich obserwacji może spowodować zupełną prawie utratę jego wartości naukowej. Tak więc badania wykopaliskowe przeprowadzone przez archeologa-fachowca (możecie w nich wziąć udział) dają o wiele więcej nauce niż przypadkowe niemethodycznie dokonywane odkrycia.

Są jednak wypadki, w których pozostawienie znalezionych zabytków, np. glinianych naczyń, broni, ozdób czy monet, grozi zniszczeniem lub dostaniem się ich w niepowołane ręce. W takiej sytuacji znalazca winien zastosować wszelkie dostępne mu środki ostrożności, zwłaszcza podczas wydobywania i transportu zabytków. Należy też dokładnie opisać, nie ufając pamięci, warunki, w jakich dany przedmiot się znajdował (na jakim podłożu, w jakim otoczeniu, na jakiej głębokości) a miejsce znalezienia zaznaczyć na mapie. Takie dokładne dane stwarzają dla archeologa możliwości podjęcia dalszych poszukiwań i badań. Trzeba więc pamiętać o najważniejszej rzeczy: o prędkim zawiadomieniu najbliższej placówki muzealnej czy naukowej o odkryciu przez was dokonany.

Istnieje u nas zorganizowana przez PTTK dobrowolna, społeczna funkcja tzw. opiekunów zabytków. Czy nie byłoby celowym, gdyby patronat nad tymi zabytkami archeologicznymi, które nie mają jeszcze swoich opiekunów, objęły drużyny harcerskie lub szkolne koła krajoznawcze? Wystarczy porozumieć się w tej sprawie, choćby pisemnie, z najbliższym muzeum archeologicznym lub okręgowym, a ono wskaże obiekty w waszej okolicy, wymagające opieki. Może zresztą jednak wy sami potraficie je wskazać? Mamy wiosnę. Sezon wypraw i wycieczek rozpoczęty. Spróbujcie!



MARSZ HARCERZY TURYSTÓW

Słowa K. Kossak i J. Litwiniuk
Muzyka J. Kurczewski



Na Instruktorskiej konferencji kierowników sekcji turystyczno-krajoznawczych Komend chorągwi harcerstwa z całej Polski, odbytej w grudniu 1957 w Sulejówku, piosenka ta — na wniosek przedstawiciela Komendy Chorągwi Krakowskiej — uznana została za marsz polskich harcerzy-turystów. J. A.

Choć czasem się niebo zachmurzy,
harcerz ducha nie traci, nie kwęka,
Gdy zapasy się skończą w podróży
starczy wiedy beztraska piosenka.
Spiewa z nami cały świat...

Las nam swoje użycza gościny
rzeka pluszcząc do wody zaprasza.
Dziękujemy ci kraju rodzinny
droga ziemio, na wieki już nasza.
Spiewa z nami cały świat...

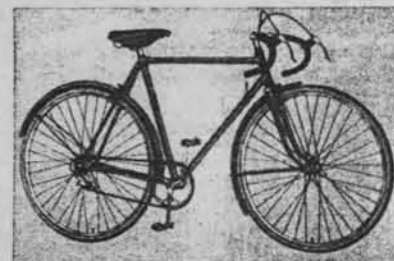
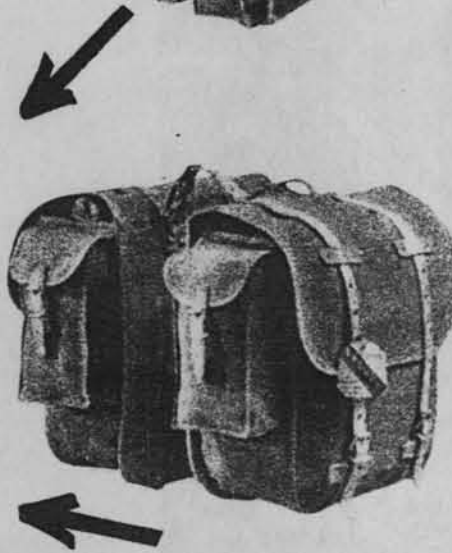
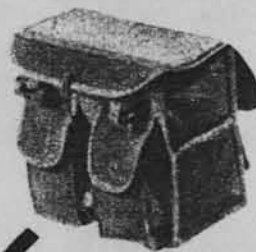
ROWERY • ROWERY • OPR. MARIA LECHOWSKA • ROWERY

Rower to w naszych warunkach jedyny chyba naprawdę popularny i dostępny dla przeciętnego śmiertelnika własny środek lokomocji. Toteż z nadejściem wiosny roją się nasze szosy od wszelkich tego rodzaju pojazdów mniej lub bardziej przystosowanych do celów turystycznych.

Dla turysty-kolarza bardzo ważnym problemem jest właściwy sposób umieszczenia bagażu. Od razu wykluczamy tu praktyki jeżdżenia z tornistrem na plecach. Również jednak niezbyt wygodne jest umieszczenie ciężkiego plecaka na bagażniku za siodełkiem. Rower posiada wówczas wysoko umieszczony punkt ciężkości i staje się wywrotny. O wiele praktyczniejsze są tu torby propagowane przez francuską firmę „Lafuma”, zawieszane na kierownicy lub po obu stronach kół.

Kwestię bagażu na dłuższych wycieczkach rozwiązuje przyczepka, wykonana z aluminiowych rurek. Rurki obszywa się mocnym brezentem, tworzącym rodzaj hamaka. Można sadzać doń dziecko lub snory ładunek. Nośność wózka wynosi bowiem 70 kg. Waga własna wynosi zaledwie — 2 kg (wraz z kołami). Autorem tego pomysłu jest p. Dobiesław Walknowski z Krakowa.

Podajemy jeszcze przykład ubioru przeciwdeszczowego dla kolarzy, reklamowanego przez angielską firmę „The Good Companions” i na koniec parę modeli rowerów włoskich firm „Wolsit” i „Legnano”.



58 nr 4(18)



Górną część rynku w Lubomierzu.

pewno nie nazbyt burzliwa. Więc li tylko ze skrupulatności notując echa dawnych kronik. A więc najpierw były tu srogie lasy i zamek, potem klasztor, wreszcie zaś miasto. Zamek znikł bez śladu, klasztor piętrzy się zespołem dumnych budynków, a miasto jest garścią czerwonych klocków ułożonych wokół rynku. Kiedy powstał zamek, z którym tradycja wiąże najwyższe wzniesienie obok klasztoru — nie wiadomo. Stanowił własność rodu von Libental i stąd pochodzi niemiecka nazwa miasteczka. Pani Jutta, wdowa po jednym z rycerzy von Libental, oraz jej synowie uzyskali od księcia Henryka IV wrocławskiego zezwolenie na założenie wśród trudno dostępnych puszcz, w pobliżu grodu, klasztoru żeńskiego. Książę objął patronat nad tą bogobojną fundacją i w roku 1278 wybudowano pierwszy drewniany zespół budynków klasztornych oraz kościół. Do Lubomierza przybyły panny Benedyktynki, a wkrótce zaczęła się nieopodal klasztoru budować osada, o której mamy już wiadomości z roku 1307. Wkrótce potem wieś przekształca się w miasto.

Dalsze dzieje znaczone są już tylko ówczesnie dramatycznymi, dziś nieco spłowiałymi datami najazdów, klęsk, moru i rabunków. Plądrowali więc miasteczko sąsiedzi rycerze-rabusie, husyci, później Szwedzi i inne żołdactwo, nie brakło też pożarów, od pierwszego wzmiankowanego w dokumentach w r. 1517. poprzez inne, z których ważniejsze (to znaczy najsukuteczniejsze) były w latach 1688 (spłonęło całe miasteczko za wyjątkiem 2 domów). 1723 i 1802 (spaliły się wówczas 153 domy, a namietać należy, że w latach dwudziestych naszego wieku Lubomierz liczył tylko 260 domów.

Głównym zajęciem mieszczan zarówno w XV jak i XX wieku było rolnictwo. Poza tym uprawiano tu częściowo tkactwo i farbiarstwo: w roku 1649 Lubomierz otrzymuje zezwolenie na urządzenie targów na płótno lniane. Od tegoż przynajmniej czasu, a może nawet od średniowiecza miasteczko szczyci się jeszcze innym targiem na... gołębie.

Dziwne to miejsce. Już same suche i ubogie fakty historyczne otaczają kamieniczki Lubomierza aurą legendy i symbolu. Taki więc targ na gołębie naprawdę słynny i naprawdę odwieczny przetrwał tu do ostatniej wojny. A teraz wyczytałem niedawno w gazecie, że w Lubomierzu wzniesiono pomnik... zgadnijcie:

LUBOMIERZ

TEKST I ZDJĘCIA
TADEUSZ CHRZANOWSKI

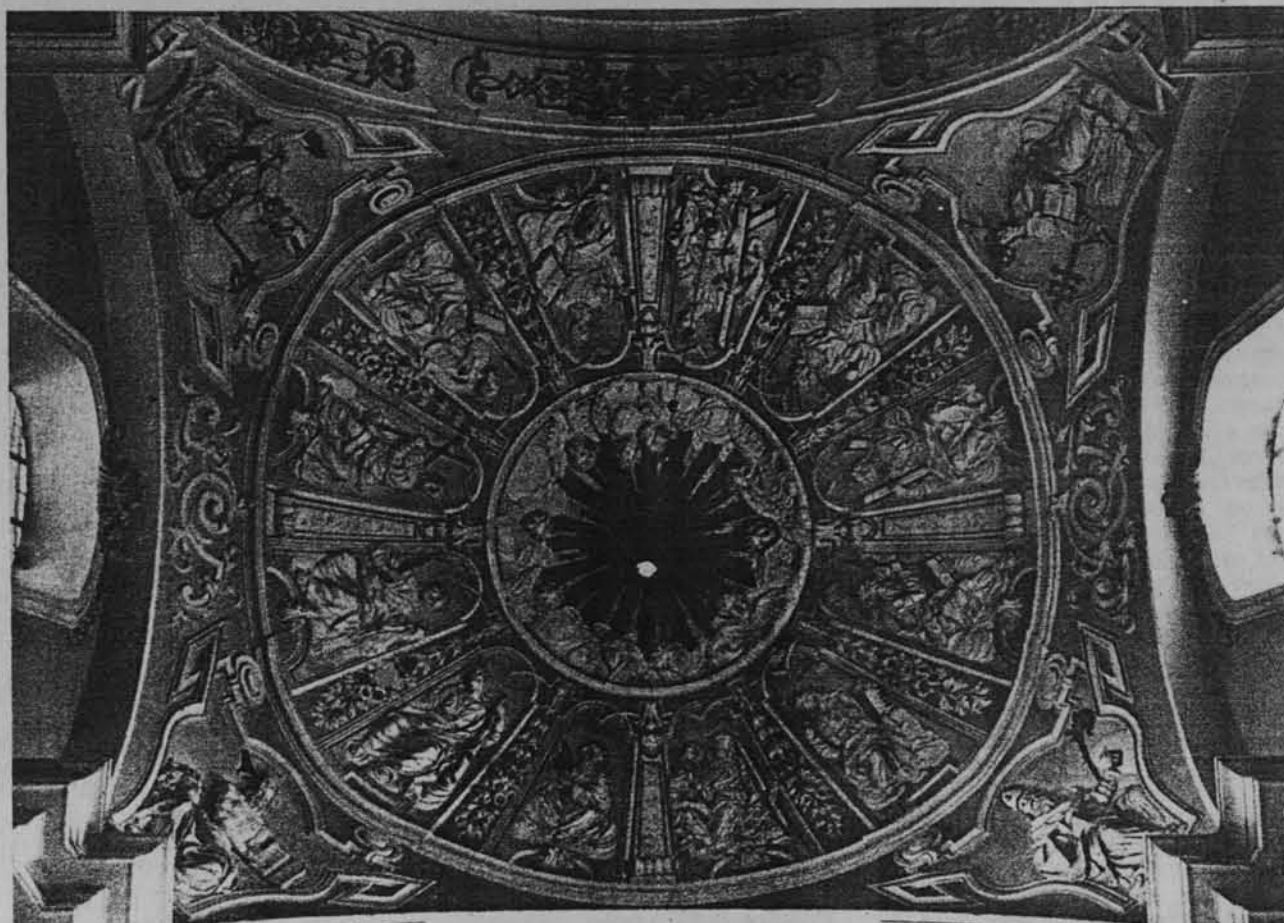
Kopuła nad prezbiterium w kościele parafialnym.

Najpiękniejsze miasteczko Śląska. Na pewno! I nie sposób tego dowieść jak i nie sposób zaprzeczyć temu. Jakimi bowiem kryteriami mierzyć urok krajobrazu, malowniczość i lekkomyślność architektury?

Świadom tego, że nie udowodnię mej tezy o piękności Lubomierza, lecz spokojny również, że nikt mego twierdzenia nie będzie umiał zbić uczonymi argumentami, mogę teraz przystąpić do spraw dostojnych i omszałych.

A więc historia. Jest z nią w Lubomierzu raczej ubogo. Miasteczko było, jest, a nic nie wskazuje na to, by miało przestać być tym, co się w gwarze fachowej określa jako „miasteczko rolnicze“, to znaczy takie, które z miejskością, poza pewnymi elementami urbanistycznymi, mało ma wspólnego. Dumne monumenta, kroniki i pamiętne imiona nic tu nie pomogą, skoro latem do mieszczańskich „miejskich“ kamienic zajeżdżają „staropolskie“ wozy drabiniaste ze snopami pszenicy lub owsa. Najlepszym wskaźnikiem owych sennych dziejów jest kilka cyfr statystycznych: ludności liczył Lubomierz w Roku Pańskim 1785 — 1050 dusz, w Roku Pańskim 1840 — 1522 dusz, zaś w roku 1933 — 1641. W roku naszej ery 1958 posiada Lubomierz mieszkańców obojga płci zapewne nie wiele więcej niż 1500. Stał w miejscu, nie pomny na postępy i regresje, na uprzemysłowienia, rozbudowy, wojny, na przyrosty naturalne i nienaturalne migracje.

Jakaż więc może być historia takiego „rolniczego miasteczka“? Na



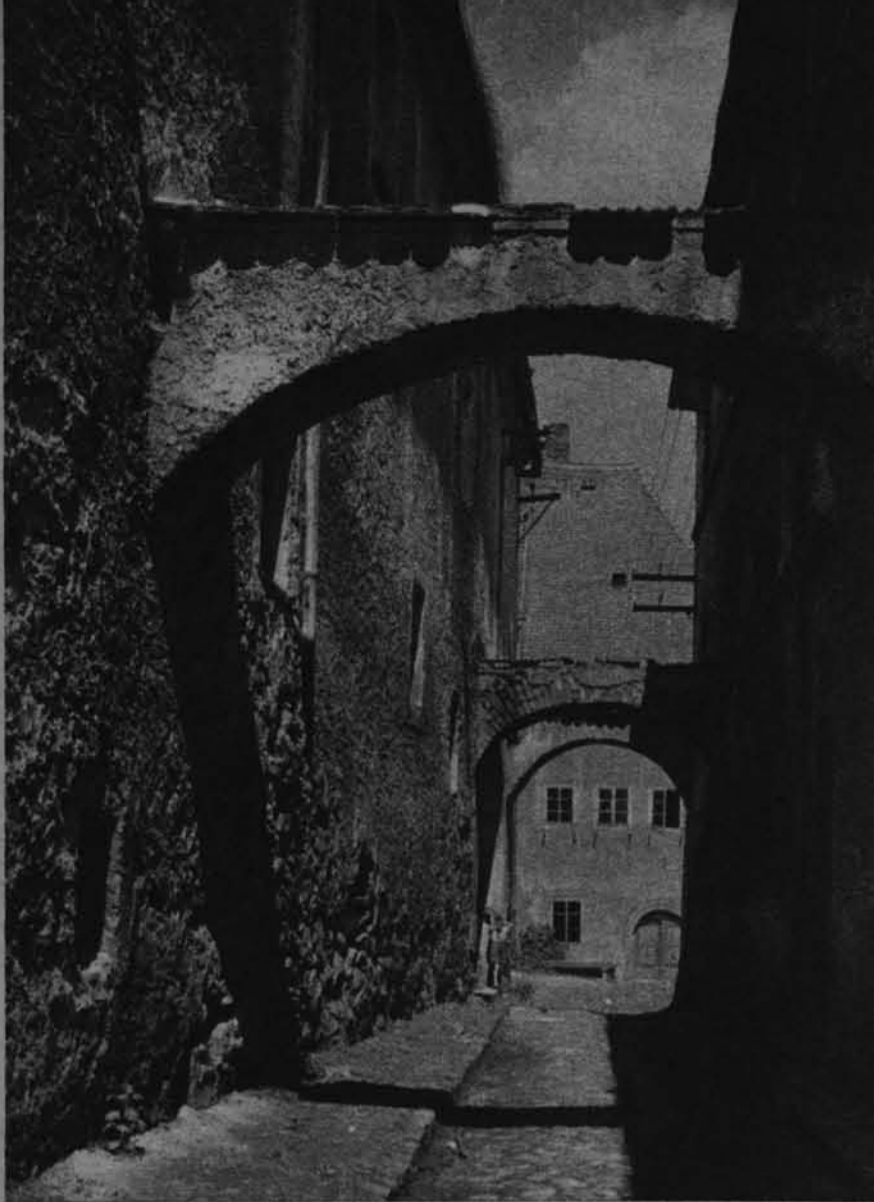
PALMY

Wieś Ochotnica, położona w sercu Gorców i najdłuższa prawdopodobnie w Polsce, bo licząca 27 km długości, przybiera osobliwy wygląd w przedpołudnie Kwietnej Niedzieli. Do dwóch miejscowych kościołów ciągną mieszkańcy na uroczystość święcenia palm. Palmy to nielada, gdyż przekraczają nierzadko 5 m wysokości. Są one dziełem młodych chłopców, którzy już na kilka dni przed Palmową Niedzielą obchodzą miedze i doliny strumyków w poszukiwaniu gałązek wierzby lub iwy. Kto nie zdąży w porę, kogo koledzy ubiegną, musi obchodzić wyższe partie zboczy i zadowolić się mniej rozwiniętymi i bardziej mizernymi gałązkami. O ile Wielkanoc przypada wcześniej i w górach leży jeszcze śnieg, chłopcy znoszą ścięte gałązki do domu, aby rozkwitły w ciepłe. Na jedną okaziałą palmę trzeba duże naręcze gałązek, bo im dłuższa, tym większym cieszyć się będzie uznaniem. W przeddzień Kwietnej Niedzieli lub rano tegoż dnia przystępują chłopcy do robienia palm. Niewielki pęczek gałązek zaczynają okręcać spiralnie sznurkiem albo grubą nicią nieco poniżej wierzchołka i dokładają stopniowo od dołu coraz to nowe gałązki, celem uzyskania odpowiedniej długości palmy. Powstaje w ten sposób rodzaj tyczki, której powierzchnia pokryta jest rozkwitłymi baziami. Górną część palmy, a niekiedy nawet dwie trzecie jej wysokości obwiązuje się wstążkami do włosów albo wstęgami wyciętymi z barwnej bibuły. Długie ich końce zwisają luźno. Górę palmy stanowi bukiet bazi i suchych traw. Obok tych tradycyjnych form dekoracyjnych, przyjmuje się w Ochotnicy zwyczaj przystrojania palm sztucznymi kwiatami wykonanymi z bibuły. Zdobią one bądź sam czub palmy, bądź też wiją się spiralnie na całej jej długości.

Z „wystrojonymi“ palmami ruszają chłopcy do kościoła na sumę. Niektórych czeka długa droga, a dźwiganie wysokich palm nie jest rzeczą łatwą, zwłaszcza gdy isć wypadnie w czasie porywistego górskiego wichru. Trudność sprawia również wnoszenie palm przez niskie drzwi do kościoła. W tym chłopcy pomagają sobie nawzajem, albo też korzystają z usług czatującej na tę okazję dzieciarni. Najwyższe palmy z trudem mieszczą się w niezbyt wysokim kościółku Ochotnicy Górnej. Niosący palmy grupują się przed wielkim ołtarzem niby poczet sztandarowy. Po mszy zbierają się przed kościołem, aby przechwalać się nawzajem swymi palmami, jak również demonstrować je wychodzącym z kościoła. Po powrocie do domu odpięte wstążki chowają dziewczęta do „półskrzynków“. Palmę zaś wynosi się na „piętro“ (strych), gdzie leży do następnej wiosny. Dopiero wtedy zostaje spalona, by ustąpić miejsca nowej.

Podobne wysokie różdżki palmowe święci się również i w innych wsiach powiatu nowotarskiego i sądeckiego.

Święcenie palm wprowadził kościół katolicki dopiero w IX wieku łącząc je w jedną uroczystość z tradycyjną już wtedy procesją urządzaną na pamiątkę wjazdu Chrystusa do Jerozolimy. Jest to zarazem nadanie chrześcijańskiej interpretacji prastarej wiosennej praktyce magicznej. Specjalną rolę odgrywa w niej u nas wierzba, jako drzewo najwcześniej budzące się z wiosną do nowego życia.



Boczna uliczka w Lubomierzu.

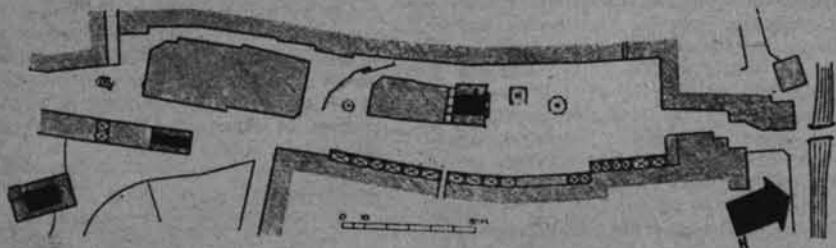
Obrońców? Powstańców? Oswobodzicieli...? Bohatera...? Wieszcz...? Postępowca...? Nie! — BOCIANA. Równie jak w wypadku gołębia dostojny symbol. I jakże znakomicie pasujący do obecnych mieszkańców Lubomierza, członków narodu który poszczycić się może jeśli nie wysoką stopą życiową, to przynajmniej wysokim przyrostem naturalnym.

Snujmy dalej tę jak najbardziej autentyczną baśń: z czego sływał tu tejszy klasztor? Z wyrobu „Balsamu Libentalskiego“ — leku na wszelkie dolegliwości, a szczególnie na bóle macicy (u mężczyzn też, bowiem macica — jak powszechnie wiadomo — to taki gad względnie robak nader dokuczliwy zamieszkujący nasze wąpła). A jak zwała się księżniczka? Panna Walpurgia. Tyle że stare księgi nie wyjaśniają związku między jej imieniem a słynną nocą Walpurgii. A kim był pierwszy burmistrz Lubomierza (dodać muszę, że dopiero w czasach pruskich ustanowiony tu został ów urząd)? Był poetą. A co dziwniejsze nie nazywał się ani Nowak, ani Krause, lecz — Chrystian Jakub Salice-Contessa.

Miasto ptaków, poetów i czarów. Ptaki jak to ptaki — fruwały. Poeci przenieśli się do wieczności albo do Warszawy. Pozostały czary. Chodźmy na ich poszukiwanie.

Gdy staniesz na rynku i rozejrzysz się wokoło — masz przed sobą panoramę całego miasteczka. Nie licząc bowiem ulicy wiodącej do stacji kolejowej i kilkunastu nowszych domów, cała „reszta miasta“ stoi przy rynku. Wszystkie inne uliczki, to po prostu mistyfikacja — prowadzą w pole.

Ale za to rynek wcale nie zwyczajny. Obszerny na wyrost, długi i pochyły, a właściwie to tak jak gdyby droga z Gryfowa na Lwówek lub Wleń wyrzuciła się nagle i zurbanizowała. Zresztą jest to typowo „śląski“ rynek. Taki sam jest i w Złotorzy i w Bolkowie i w wielu innych okolicznych miastach. Położony na łagodnej pochyłości, obszerny a bardzo długi, zaakcentowany pośrodku ratuszem, u góry zamknięty masywną bryłą kościoła. I podcieniowany oczywiście — nie darmo sąsiaduje z Jelenią Górą, Bolkowem czy Jaworem. Tyle, że tak jak w Bolkowie podcienienia wiodą wzdłuż jednej tylko ściany rynku, podczas gdy przeciwnie pierzeja nie posiada ich wcale (pierzeje węższe nie odgrywają w istocie większej roli w ukształtowaniu architektonicznym). Ale ta „jedna strona“ podcieni starczy za cztery: obszerność i malowniczość arkad i sklepień jest wprost zaskakująca — gdy wejść w ich półmrok perspektywa wygina się, komplikuje i wreszcie umyka wstępując lub zstępując wieloma warstwami schodów i pochyłości.



ZDZISŁAW SZEWCZYK



Posąg św. Maternusa w Lubomierzu.

„Najlepszy Lubomierz“ znajdziesz niewątpliwie wówczas, kiedy przystaniesz na samym dole rynku obejmiesz go w całości uważnym spojrzeniem. Po lewej podcienia — masywne, nierówne, wędrujące niesfornie pod górę, zresztą po coś podcieniom reklama? Po prawej rząd kamieniczek wstępujących na stok schodkami nieregularnie piętrzących się dachów. Pośrodku ratusz — „mały ale gustowny“, taki trochę jeszcze barokowy a zarazem już klasycystyczny ze ślicznie założonymi dwubiegowymi schodami od frontu. Obok monument barokowy, tak zwana „morowa kolumna“ (Pest-saule), bardzo typowa dla regionu czesko-śląskiego, wzniesiona w r. 1712 i do dziś prezentująca teatralnych świętych. Na czubku zaś całego miasteczka potężna szeroko rozsiadła bryła kościoła i blok po-klasztorny.

A teraz chodźmy pod górę. Za ratuszem stoi drugi jeszcze budynek i tworzy się między nimi wąska, krótką uliczka, jak gdyby dla żartu spięta górą kilkoma łukami. U wejścia w tę uliczkę, w narożniku srogi pregieryz. Może został on tak gruntownie odnowiony, a może nie zużył się do tego stopnia jak inne tego rodzaju „instytucje“ — kto wie czy w Lubomierzu było wielu takich, którzy by nań zasługiwali?

Jeszcze kilka kroków pod górę i znowu otwiera się szerszej zwężona ratuszem przestrzeń rynkowa, więc powstaje jak gdyby drugi mniejszy plac, przypominając po trosze makietę filmową. Oto pośrodku tego placu znów barokowy monument: nad studzienką kolumna, na kolumnie szumią, jak wezbrane wichrem żagle, szaty biskupa-patrona, a trzeba wiedzieć, że Lubomierz i patrona wybrał sobie niezwykłego — jest nim św. Maternus. A z tyłu za kolumną i studzienką kamieniczka z renesansową sgraffitową dekoracją która raduje wzrok swą pogodną geometrią.

W ogóle mnóstwo tu dziwów i uroków — uliczki wiodące wprost w zieleni pól i łąk, uliczki spinane łukami, uliczki krzywe, uliczki potrzebne miastu tylko dlatego, aby się mogło bardziej jeszcze podobać.

No i wreszcie na samym czubku tej urbanistycznej liryki (względnie lirycznej urbanistyki) kościół i dawny klasztor Benedyktynów. Klasztor i kościół, zapewne wówczas jeszcze drewniane, spłonęły w r. 1517. Odbudowa ciągnęła się kilka lat — w r. 1523 poświęcono ołtarz główny a ukończona została zapewne w roku 1554 — taka bowiem data widnieje na wieży. Ale i z tej drugiej budowli zachowało się niewiele: w

klasztocie krużganek, w kościele zaś zakrystia a nad nią chór zakonny, sklepienie gotycko. No i zachowała się wieża, nadbudowana zresztą po r. 1802, a szczytująca się wcale przyzwoitą wysokością (ok. 60 m).

Kościół istniejący dziś powstał z fundacji księni Marty Tanner w latach 1723—30 i jest wielką reprezentacyjną budowlą barokową. Znowu podkreślić trzeba tę „śląską“ typowość, o której tylokrotnie wspominałem już dotychczas. Ale coż mogę począć — i okres, w którym powstał kościół w Lubomierzu, i jego kształt architektoniczny — wszystko to „siedzi“ w owej, niezwykle bogatej w najlepsze dzieła budowlane, epoce śląskiego baroku. Oczywiście tutaj kościół nie dorównuje świątyniom takim jak Krzeszów czy Legnickie Pole — jest jednak imponującym dziełem architektury monumentalnej, a wzrok raduje niespokojną a podporządkowaną świadomym rygorom grą ruchliwych linii i płaszczyzn, wewnątrz zaś lekkim przenikaniem się przestrzeni.

Przy budowie kościoła zatrudnionych było wielu majstrów i rzemieślników. Lutsch w swej starej lecz bezcennej inwentaryzacji zabytków śląskich wymienia szereg nazwisk, a wszyscy wymienieni pochodzą z bliskich okolic Lubomie-

rza — z Jeleniej Góry, Lwówka itd. Przy okazji warto wspomnieć, że dekoracje malarskie wykonał malarz Neunherz — bliski krewny (siostrzeniec?) Michała Willmanna, najwybitniejszego barokowego malarza na Śląsku. Dziś w dekoracji kościoła uderza zwłaszcza pozorna kopuła nad prezbiterium o bogatej choć nieco ciężkiej sztukaterii. W ogóle w dekoracji, a odnosi się to również do ołtarzy, dominuje pewna ciężkość, którą można przypisać zarówno prowincjonalizmowi jak i dążności do monumentalizowania tego baroku, który coraz silniej uciekał w lekkość rokoka.

Z dawnego, średniowiecznego wystroju nie pozostało prawie nic — jedynie w prawym ołtarzu bocznym odnajdujemy rzeźbę Matki pochylonej z niemą rozpaczą nad zwłokami syna — typowy przykład gotyckiej Piety.

Jeżeli chodzi o klasztor — jest to bardzo imponujący kompleks barokowych budynków. Niestety, dziś ani w dostatecznej mierze, ani w należyty sposób nie wykorzystanych. Wzniesiony w końcu w. XVII przekształcony został dość gruntownie po pożarze w r. 1802. Wkrótce po tym odnowieniu nastąpiła zresztą kasata zakonu (1810) i rząd pruski utworzył tu coś w rodzaju klasztoru zbiorczego dla pomieszczenia zakonnic ze wszystkich rozwiązanych zgromadzeń żeńskich na Śląsku. W r. 1845 przybywają do Lubomierza nowe siostrzyczki — są to wrocławskie Urszulanki, które zakładają tu szkołę dla okolicznej młodzieży. Praca tych zakonnic trwa w Lubomierzu sto lat z dziesięcioletnią przerwą (1878—1888), kiedy to władze pruskie w ramach osławionego Kulturkampfu wypędzają je z Lubomierza.

Z baroku, swobody, z kameralnego piękna i zaułkowych niespodzianek zbudowany jest Lubomierz. Jeszcze jedno spojrzenie — tym razem z góry, spod kościoła na łagodny stok rynku, na kamieniczki, karpiołkowe stopnie dachów i posągi teatralnych świętków.

Do widzenia, miasteczko ptaków i lirycznych burmistrzów, pięknej architektury i groźnej prowincjonalnej ciszy, która domom, ulicom i całym miastom przynosi opuszczenie i śmierć. Obv cię — najpiękniejsze śląskie miasteczko — rozsądni administratorzy i ludzie dobrej woli ustrzegli od losu tych sasiadów: miasteczek popadających bezsilnie w ruinę.

T. CHRZANOWSKI

MARIA HESSEL

Z felietonu dyskusyjnego „O potrzebie tradycji“ przebijają dwie rzeczy, niewątpliwie bardzo cenne: dobra wola i wyjątkowo serdeczny stosunek do naszych Ziemi Zachodnich. Niemniej cały ten felieton uważam za nieporozumienie, gdyż argumentacja autora żywo przypomina mi kategorie pewnego soboru, na którym roztrząsano, ilu aniołów zmieści się na końcu szpilki.

Zanim przeciwstawię głównym, tytułowym sugestiom autora mój osobisty punkt widzenia, chciałabym w kilku zdaniach skwitować samą „introdukcję“, a mianowicie: „Umówmy się na samym początku, że będziemy tu mówili prawdę“. — Otóż prawdy istotnej, niefałszowanej, odważnej, postawionej po męsku i z poczuciem odpowiedzialności — nie zaobserwowałam w wypowiedzi p. L., a jest rzeczą niemożliwą, by autor jej nie znał. Przeciwnie: odnośnie wrażenie, że nie tylko ją zna, ale świadomie omija, by wymanewrować swój cel. Wolno mu, ale nie przy pomocy wszystkich środków. Istnieją pewne granice, a logika jest dla publicysty najpierwszą i najważniejszą z nich.

RZECZYWISTOŚĆ CONTRA TRADYCJA

Chodzi o tzw. „tymczasowość“ na Ziemiach Zachodnich, jej źródła i sposoby przeciwdziałania. Czyli — o „potrzebę tradycji“. Twierdzenie, jakoby brak tradycji mógł w jakimkolwiek stopniu powodować ową tymczasowość, jest dla mnie nie do przyjęcia. Autor słusznie twierdzi, że Ziemia Zachodnie stanowią z Polską centralną jeden organizm, całkowicie zespolony politycznie, administracyjnie i gospodarczo. Ale słuszne jest także to, co wciąż stanowi u nas temat częstych wypowiedzi i publikacji: że w Niemczech bynajmniej nie uchylły żądania rewizjonistyczne i że jak dotąd tylko jedno mocarstwo uznało nasze prawo do tych ziem.

Ten stan rzeczy jest chyba najważniejszą przyczyną „tymczasowości“. Lecz istnieją też inne, nie mniej poważne. O jednej z nich możemy przeczytać w nr. 10 „Więści“ z dnia 9 marca 1958 r. pt. „Czyja wina?“ (Edward Pochroń). Tragedia osiedleńca, Franciszka Polaka, wysiedlanego na rzecz b. SS-manna, ma swoją własną wymowę tak jednoznaczna, że nie szukajmy dalszych przyczyn „tymczasowości“.

Ale gdyby nawet i te przyczyny odpadły całkowicie — jeszcze brzmi niepoważnie sugestia autora, jakoby potrzeba tradycji powodowała tymczasowość. Autor jest z zawodu lub z amatorstwa — etnografem, krajoznawcą, miłośnikiem zabytków, tradycji i historii. Ale w takich sprawach nie można przykładać wszystkich do własnej miary. Mieszkańcy Ziemi Zachodnich, to nie etnografowie ani historycy sztuki. Zabytki, kaplice i ich fundatorzy są im całkowicie obojętni. Ponieważ autor felietonu zawarł z nami umowę o prawdę, stwierdzam wprost: te zainteresowania posiada zamkniętą i bardzo szczupłą garstką fachowców czy miłośników, wybranych i wtajemniczonych. A masie ludzkiej na Ziemiach Zachodnich te zabytki są tak bardzo potrzebne do życia, do „wrosnięcia w obcy grunt“, że je... barbarzyńsko wprost niszczą, nie dostrzegając nie tylko ich wartości, ale nawet ich piękna. Budulec — ot, co!

Obok autochtonów żyją na Ziemiach Zachodnich ludzie, którzy pojechali tam po chleb i dach nad głowę. Jeżeli wierzyć relacjom reporterów — dach

ten nazbyt często przecieka... Czasem podobno nawet wali się na głowę... To chyba nie pomaga do „wrosnięcia w grunt“. Większość ludzi żyje tam nie z wyboru, lecz z konieczności i często wbrew własnej woli. Autor sam wykażal nam to bardzo przekonująco na przykładzie „miliona z Liczyrzepki“. Skoro ktoś, zdobywszy niespodziewane środki niezależnej egzystencji, (cytat:) „ucieka do rodzinnej miejscowości na Podhalu lub koło Przemyśla“ — widocznie nie chce być na Ziemiach Zachodnich, nawet w dobrych warunkach. Nie chce.

Na te sytuacje, na te głębokie i dramatyczne procesy, zarówno społeczne jak indywidualne, autor felietonu aplikuje — jako zbawczy lek — tradycję. I to obca! Twierdzi przy tym z wręczającym przekonaniem, że tradycja ta i tak będzie polska (!)

C. D. NA STRONIE 29



ŚWIATŁA I CIENIE SŁUŻBY POCZTOWEJ W DAWNEJ POLSCE

Słuszną jest rzeczą, by w bieżącym roku, kiedy to obchodzimy 400-lecie poczty polskiej, poświęcić nieco uwagi pracownikom dawnej poczty. Nie ulega wątpliwości, że cieszyli się oni poważaniem, a nawet byli przedmiotem podziwu i zazdrości jako pracownicy jedynej wówczas instytucji, trudniącej się nie tylko przewozem listów, paczek i pieniędzy, ale też i osób, instytucji, dzięki której najprędzej można było dowiedzieć się, co się gdzie indziej, na świecie, dzieje. Telegrafu, telefonu i radia ówczesni jeszcze nie znali, a czasopisma, które również bez poczty nie mogłyby istnieć, nie dla każdego były dostępne. Najbardziej popularnym z personelu pocztowego był pocztylion. Z tytułu wykonywanych czynności nie przebywał na miejscu, a ponadto stykał się z ludźmi, którzy podróżowali i w związku z tym mieli dużo do powiedzenia. Ba, dochodziło do tego, że miejscowość ze stacją pocztową przedstawiała być zwykłą miejscowością, a ludzie, którzy ją zamieszkiwali, uważali się za coś lepszego.

Mimo tego nimbu służba pracownika pocztowego nie należała bynajmniej do lekkich. Obowiązków było dużo, a za wszelkie uchybienia groziły różnorakie kary. Pocztylion bez względu na porę dnia, w mróz i śnieg, musiał wyruszać w drogę. Również poczmistrz i kierownicy stacji nie mieli nocy spokojnych. Według regulaminu pocztowego Księstwa Warszawskiego „zarówno w dzień jak i w nocy, jeśli nie sami poczmistrz i poczwercerzy, to ci powinni kogoś wyznaczyć, który by oczekiwał ekspedycji pocztowej i za usłyszeniem z daleka trąbki poczmistrza lub poczwercera obudził, zanim jeszcze poczta...”

W pracy swej personel pocztowy byłby chyba jednak zupełnie zadowolony, gdyby nie wojny i zamieszki domowe, jak również nieludzkie wprost postępowanie niektórych pasażerów, korzystających z koni pocztowych. W czasie wojen poczmistrz i poczwercerzy byli narażeni na różnego rodzaju straty, kończące się nieraz ich ruiną majątkową. Przede wszystkim rekwirowano im i zajeżdżano na śmierć konie, które były ich prywatną własnością. Na przestrzeni XVIII wieku kilkakrotnie uległy dużemu zniszczeniu urzędzenia pocztowe, zwłaszcza w czasie długoletniej wojny o tron po śmierci Augusta II i w czasie konfederacji barskiej. Z czasu konfederacji przechowała się prośba poczmistrza rożniatowskiego Żydowskiego, który tak pisze: „już lat 19 dworowi służę, funkcję tę sprawując pocztową..... teraz przez to nieszczęśliwe zamieszanie, którego doznałiśmy wszyscy, tak podupadłem, że bez ratunku powstać nie mogę... Rzecz prawdziwa, co powiem, miałem 16 koni,

tem konserwował dla wygody przejeżdżających Ichmci Panów Pasażerów, lecz wojsko rosyjskie, nie pardonując stajom pocztowym, tudzież bardziej panowie konfederacji, żadnego nie mając względu, póty brali i zajeżdżali, ażem przy żadnym nie został koniu...”

No, ale trudno. Wiemy, że każda wojna pociąga za sobą zniszczenie. W żaden jednak sposób nie można zrozumieć postępowania ówczesnych pasażerów, którzy z tytułu swego pochodzenia, majątku lub zajmowanego stanowiska, niejednokrotnie lżyli i katowali zarówno pocztylionów jak i poczmistrzów względnie kierowników stacji, gdy ci nie chcieli lub nie mogli spełnić ich zbyt wygórowanych żądań.

Trzeba stwierdzić, że prawodawstwo brało w obronę pracownika pocztowego przed zbyt krewkimi podróżnymi. „Warujemy — czytamy w uniwersale z 18 grudnia 1764 r. — tudzież i ostrzegamy wszelkie bezpieczeństwo pocztmagistrom i kursorom sub poena duplicis vadii capitanealis na przestępców alias gwałcicieli uniwersalów nasych...”

Obrona ta nie odnosiła należytego skutku. „Nie atramentem już, ale krwawymi łzami” skarży się poczmistrz włodzimierski w związku z pobiciem go przez wojewodę kijowskiego. A skarg takich w aktach kancelarii Stanisława Augusta zachowało się więcej. Dlatego też w r. 1781 dyrektor generalny poczt, Przebendowski, pisze w raporcie do króla: „gdy takowe porywania się na barwę królewską codzień wzmaga się i już żadną miarą nie można będzie stacje zdatnymi osadzać pocztylionami, kiedy ich zdrowie i życie od tego pasażerów humorów zależy by miało.” Zaś w kilka lat później wyższy urzędnik pocztowy, Sartorius, tak pisze: „szlachcic, obejmując funkcję pocztową, z praw osobistych i własności koni swoich nie stracić nie może... gdzieby na koniec szukać przyszło porządnych i majątnych oficjalistów, tudzież trzeźwych pocztylionów, jeżeli ich majątek i życie od gwałtowności pasażerów zabezpieczony nie będzie?”

A że sprawa była nader poważna i nie ograniczała się do wypadków sporadycznych wynika już najdobitniej z tego samego raportu: „były wiadome skargi przejeżdżających kurierów cudzoziemskich, którzy po kilka razy przed swymi ministrami żalili się, że przez postępowanie gwałtowne krajowych pasażerów ludzie i konie tak niszczyją, iż nie są w stanie usłużenia należycie kurierom cudzoziemskim...” Niestety, mimo najszlachetniejszych chęci, władze pocztowe, a przede wszystkim król, nie byli w stanie w należyty sposób przeciwstawić się samowoli i gwałtom możnych.

Inna rzecz, że w tym czasie spotykamy się z nieludzkim traktowaniem personelu pocztowego i w innych państwach. Tak np. w Rosji carskiej skargi poczmistrzów na samowolę i ucisk nie miały końca. Z drugiej zaś strony według rozporządzenia z r. 1672 służba pocztowa, na którą skarżono się za nie dość pospieszną jazdę, miała podlegać cielesnej chłości, którą tak skwapliwie stosowano. W państwie pruskim jeden z Fryderyków każe ćwiczyć batogami pocztylionów za przewrót wozu pocztowego, co przy ówczesnym stanie dróg i konieczności szybkiej jazdy bynajmniej nie należało do rzadkości.

FR. JAKUBOWSKI

KORPUS PONTONIERÓW

Mundury polskich pontonierów z XVIII w.



„Kommissya Skarbu Koronnego z mocy Prawem sobie dozwolonem Chorągiew Pontonierów Cudzoziemskiego Autorialmentu, na potrzebę Skarbu Koronnego ustanowiwszy, teży Chorągwi Maiorem Imci Pana Jana Jerzego de Woyten, przeszlego Komendanta teży Chorągwi podług patentu dnia 25 sierpnia 1764...” czyni.

Tak brzmi fragment dokumentu nadającego dowództwo nad nowo sformowaną, na mocy uchwały sejmu z 1764 roku, Chorągwią lub Korpusem Pontonierów, zwanym też Batalionem Piechoty Skarbowej. Powstanie jego, w miejsce dotychczasowej Milicji Mostowej, było jednym z ważnych kroków Rzeczypospolitej, na drodze zapoczątkowanej na sejmie konwokacyjnym reformy ówczesnej wojskowości.

W 1766 roku korpus był sformowany, a de Woyten zwrócił się do Komisji Skarbowej z prośbą o nadanie „pontonierom” sztandaru dla „honoru i powagi”. Jakoż 13 lutego 1767 roku biskup warmiński Ignacy Krasiński (!) poświęcił chorągiew korpusu, „kitajkową” białego koloru, z pasowym obłamewaniem dookoła i czerwonym polem pośrodku opatrzonym białym orłem w otoczeniu złotych kluczy podskarbińskich. Cały korpus pod dowództwem sztabu, z pułkownikiem na czele, dzielił się na trzy kompanie, których skład liczbowy często ulegał zmianie, licząc od 150 do 300 ludzi. Umundurowanie pontonierów stanowiły „suknie” zielone z czerwonymi wylogami i srebrnymi

guzami, oraz białe „kamizole” i „pludry”.

W latach pokoju korpus pełnił służbę wodną zajmując się wykonywaniem map i opisów, regulacją i uszlupianiem Wisły, Warty, Pilicy, Obry, Biebrzy i innych rzek polskich.

W roku 1787 doszedł do skutku zamiar pochodzący jeszcze sprzed 5 lat, stworzenia przy korpusie „Szkoły Inżynierskiej”... „aby znajdujący się w tym korpusie oficerowie w nauce Inżynierii doskonałość mogli zostawić w następcach swoich, niezbędną dla potrzeb publicznych skarbu...” Uczący się tu kadeci w liczbie 21 mieli zapoznawać się z rysunkami, geometrią, trygonometrią, mechaniką, hydrauliką i hydrostatyką. Tak więc korpus kształcił również kadre oficerów-inżynierów wodnych, do których należał nie tylko komendant de Woyten, ale i inni oficerowie, jak Jan Deybel, Firlej, Jan Lehman, major Bogucki.

Niestety żywot korpusu nie był długi. Po kilku latach pomyślnego rozwoju przetrwałszy okres Konfederacji Barskiej, redukcji wojsk i ogólnych nieszczęść Rzeczypospolitej, korpus wziął udział w Insurekcji Kościuszkowskiej. Po sławnej walce z wojskami Igelströma, został przekształcony w XVII regiment pieszy, pod dowództwem płk. Gisilera, by 4 listopada 1794 roku zakończyć chlubne swe istnienie na szanach Pragi.

J. B.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

Baranowicz Jan
Baśnie śląskie. (Wyd. 1. Okł., k. tyt. i przyrówniki proj. Zygmunt Żurowski. — Warszawa) 1957. Ludowa Spółdz. Wydawnicza. cm. 21X16, s. 334, 5 nrb. zł 26.—

Biskupski August
Pietwonurkowie. (Wyd. 1. Okł. i k. tyt. Władysław Brykczynski. — Warszawa 1957) LPZ (Wyd. Min. Obrony Narodowej) cm 16,5X11,5 s. 82, 6 nrb, ilustr. zł 8,30

Długosz Alfons
Zabytki wielickie. Przewodnik. (Obwol. proj. Józef Kowalewski). — Warszawa 1957 „Arka-dy” cm 20X14,5, s. 41, 2 nrb. tabl. 24.

Informator gospodarczo-turystyczny województwa zielonogórskiego. Dni winobrania. (Okł. proj. i ilustr. Z. Jujko). — Zielona Góra. 1957. (Kom. Organ. TRZZ i Kom. Obchodu Dni Winobrania cm 14,5X10,5, s. 65, 31 nrb, ilustr. mapa, pl.

Kol. red. Władysław Korcz, I. i B. Solińscy, T. Swiata, E. Tomczak. — Tyt. okł.: Zielonogórski Informator gospodarczo-turystyczny zł 2.—

Iskrzycka Irena
Muzeum w Lublinie. Oprac. graf. Eugeniusz Pol przy współpracy Tadeusza Siebielca — [Lublin] 1957. cm 23,5X16,5, k. 12 nrb, ilustr.

Tyt. na s. 1, inne dane opisu na s. 3 okł. — Tekst również ang., franc., ros., — Początek tekstu na s. 2 okł. zł 5.—

Sędziński Franciszek
Baśnie kaszubskie. (Wyd. 1. Okł. proj. Janina Jasińska. — Warszawa) 1957. Ludowa Spółdz. Wydawnicza, cm 20,5X13, s. 209, 1 nrb, ilustr. zł 15.—

Katalog zabytków sztuki w Polsce. T. 3: Województwo kieleckie. Pod red. Jerzego Z. Łozińskiego i Barbary Wolff. Z. 2: (Olgierd Puciła, Zygmunt Świechowski): Powiat ilżecki. Z. 3: (Tadeusz Przykowski): Powiat jędrzejowski. — (Warszawa 1957) Państw. Instytut Sztuki. Dział Inwentaryzacji Zabytków. cm 17X12, s. 4 nrb, 38, 2 nrb, tabl. 46, mapa 1, plan, s. 4 nrb, 46, 2 nrb. tabl. 66 w tym portr., mapa 1, plan
Bibliogr. z. 2 s. 37—8, z. 3 s. 45—6 sprawdziła i uzupełniła Zofia Winiarz. zł 11.— zł 14.—

Lewandowska Anna
Katalog zbiorów kartograficznych Książęcy Miejskiej im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. — Toruń (1957) Książnica Miejska im. M. Kopernika. cm 20,5X14,5, s. 137, 1 nrb., tab. 2, mapy 3, pl. 1.
Prace Książnicy Miejskiej im. M. Kopernika w Toruniu, 8.

Lewiński Jan
Życie Ziemi. (Wyd. 1). Przejrzał i uzupełnił Henryk Świdziński. (Obwol. proj. T[ed]or Klonowski. Okł. proj. W[ł]osław Kosiński. — Warszawa 1957. Wydawnictwo Geologiczne. cm 24,5X17,5, s. 432, portr. 1, ilustr., mapy err. Skorowidz oprac. Lucyna Świdzińska. — Bibliogr. s. 397—402 zł 55.—

Materiały etnograficzne z woj. łódzkiego. (Wyd. 1) — Łódź 1957. Państwowe Wyd. Naukowe. cm 24X17, s. 190, 2 nrb., ilustr., portr. nuty.

Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi. Prace i Materiały Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi. Seria Etnograficzna, nr 1. — Res. zł 42.—

KRAJOZNAWSTWO
ZA GRANICĄ



S
P
E
R
L
O
N
G
A



U góry: Rozkopywanie zalazanego wodą rumowiska. U góry po prawej: Szczytki gigantów. Poniżej po lewej: Król szwedzki zwiedza grota w towarzystwie prof. Giulio Jacopi. Po prawej: Pósegi Galmeda wydobyty na światło dzienne. U dołu: Dłoń jednego z Gigantów.



Starożytne źródła historyczne opowiadają o pewnej grocie leżącej w paśmie kraśnych wzgórz w odległości około 100 km od Rzymu, w której około 20 roku po Chrystusie cesarz Tyberiusz urządził dla siebie i swoich przyjaciół romantyczne miejsce uczt i zabaw. Dla przyozdobienia surowej grotty ustawiono z polecenia cesarza szereg znakomitych arcydzieł rzeźby greckiej i rzymskiej, a zapewne i wiele innych atrybutów dekoracyjnych. Te same źródła podają, że w trakcie jednej z uczt runęło na rozbawionych biesiadników sklepienie grotty, grzebiąc pod gruzami wspaniałe posągi, a nawet sam Tyberiusz ledwo zdołał uciec z życiem. Co było dalej — historia milczy i milczałaby zapewne długie jeszcze lata, gdyby nie zwykły przypadek i ciekawość ludzka, które nieraz przyczyniły się nauce nielada rewelacjami.

W rejonie Sperlonga przystąpiono do budowy drogi. Prace prowadził inż. Erno Bellante, z zamiłowania amator-archeolog. Zaciekawiony niezwykłą grota nad morzem, na którą przypadkiem natrafił, rozpoczął dorywcze amatorskie poszukiwania, przekopując niektóre odcinki rumowisk zalewanych falami morskimi. Te dorywcze prace archeologa-amatora dały nadsządziwany sukces: na światło dzienne wydobyto dwa kamienne torsy męskie oraz szczątki rąk i nóg, które udało się wyłowić z błota i mułu.

O skarbach rzymskiej grotty powiadomiano Soprintendenta alle Antichità di Roma I-a (instytut badań archeologicznych), która zajęła się pracami wykopaliskowymi. Jako kierownik całości pracuje znany archeolog włoski, prof. dr. Giulio Jacopi.

Znalezisko w grocie Sperlonga odnozione jest do szkoły rodyjskiej. Szereg postaci wskazuje, że prof. dr. Giulio Jacopi odnalazł oryginał grupy Laokoona. Ta bowiem, którą przechowuje Muzeum Watykańskie, jest rzymską kopią oryginału, wykopaną w Rzymie w 1506 roku. Prof. Jacopi odnalazł ułomek marmuru z oryginalnymi podpisami trzech greckich mistrzów, twórców grupy Laokoona: Hagesantrosa, Athendorosa i Polidorosa, co stanowi szczególnie nader ważny. Pozostaje jednak zagadką odnaleziona rzeźba Ganimeda, mitologicznego królewicza, porwanego z Aten do nieba, oraz sceny porwania Palladiosa, którą pewne koła naukowe przypisują szkole pergameńskiej.

Ponadto odnaleziono 12 posągów męskich. Dwunasty posiada szczególnie imponujące rozmiary, co skłoniło prof. Jacopi do przypuszczenia, że są to części ogromnej, znanej ze źródeł tylko grupy Scylli lub Ulissesa, wyobrażającej walkę marynarzy z legendarnym potworem morskim — Scyllą. Za tym faktem przemawia przerażona twarz jednego z gigantycznych marynarzy. Rzeźby te wykazują te same cechy stylistyczne, ba, nawet tę samą rękę, co grupa Laokoona, a więc są dziełem szkoły rodyjskiej i bardzo być może wspomnianych autorów grupy Laokoona.

Poza tym odkryto szereg masek oraz portretów rodziny cesarskiej, pochodzących ze zbiorów niejakiego Faustynusa (jak wskazuje napis), znanego właściciela posiadłości ziemskiej, miłośnika rzeźby i przyjaciela sławnego Martialisa. Znaczący trzeba, że portrety te stanowią świetny przykład nieprzerwanego rozkwitu rzeźby rzymskiej od końca Republiki do epoki Cesarstwa. Do niedawna utrzymywało się zdanie, że ten właśnie okres był raczej upadkiem rzeźby, aniżeli jej ciągłym rozkwitem.

Inne z wydobytych marmurów wyobrażają sceny związane z chowem bydła. Istnieje przypuszczenie, że będą to fragmenty jakiejś całości, stworzonej przez szkołę rodyjską, która posługiwała się nierzadko scenami pasterskimi.

Praca w grocie jest bardzo ciężka i niebezpieczna zarazem, gdyż jaskinia jest silnie nawodniona, pełna pocisków, min i materiałów wybuchowych, pozostałych po ostatniej wojnie.

Edvin Matasow

Kadłub luksusowego statku buchał ogniem i tonął w chmurach dymu. Pospiesznie spuszczone łodzie ratunkowe zdezerowały się ze sobą i wywracały. Część już pływała do góry dnem. Z szalejących na pokładach płomieni skakano w lodowate fale cieśniny Long Island...

Było to w styczniu 1840 roku. Nowojorska gazeta „SUN” wydała dodatek nadzwyczajny z opisem katastrofy SS „Lexington”. Z pożaru uszły z życiem zaledwie cztery osoby! Na tytułowej stronie gazety widniał obraz płonącego statku pełen grozy i owego śmiesznego dziś dla nas naturalizmu, jaki cechuje XIX-wieczne litografie. Wówczas jednak obrazek nikogo nie śmieszył. Przeciwnie. Budził podziw i przerażenie wśród czytelników, a zazdrość pośród konkurencyjnych dzienników. „Sun” zamieścił ilustrację „z ostatniej chwili”!

Ilustrację tę wykonała na zamówienie redakcji nowojorska pracownia litograficzna niejakiego Nataniela Curriera. I oto w ciągu jednego dnia 27-letni Nat Currier pionier tej sztuki na terenie Nowego Jorku — stał się sławny. Okazało się bowiem, że jego warsztat litograficzny może w niebywałym jak na owe czasy tempie zaspokoić głód wrażeń wizualnych tysięcy czytelników gazet. Że jest w stanie utrwalić na papierze najciekawsze wydarzenia dnia codziennego i że jego kolorowe, atrakcyjne odbitki kosztują stosunkowo niedrogo. Currier umiał wykorzystać koniunkturę. Specjalizuje się w litografii „reporterskiej”. Chwyta na gorąco barwne życie dziewiętnastowiecznego Dzikiego Zachodu. Na litografiach Curriera widzimy kryte białym płótnem wozy osadników forsujących Góry Skaliste. Półnady czerwonoskórzy ścigają na mustangach stada bawołów, a przez prerie pędzą staroświeckie pociągi. Wszystko to utrzymane w jaskrawych kolorach przypomina bardzo sceny z filmu „Indyjski wojownik”. Kto wie zresztą, czy realizatorzy filmowi nie korzystali ze starych litografii Curriera, oddających właściwy klimat epoki podboju? Ale oczywiście nie wszystkim podobają się indiańsko-osadnicze tematy. Toteż Currier produkował obrazki rozmaitego rodzaju. Ryto więc także sceny morskie, przedstawiające słynne wówczas klipry pocztowe osiągające legendarną szybkość. Inne znów litografie były poświęcone lirycznym scenkom miłosnym, jeszcze znów inne — karykaturze lub historyjkom obrazkowym Currier (a od roku 1857 Currier & Ives) nie ograniczał się bynajmniej do wykonywania ilustracji gazetowych. Większość jego ilustracji rozkupowano po to, by je oprawić następnie w ramy i wieszac na ścianach dziewiętnastowiecznych salonów. W drugiej połowie ubiegłego stulecia firma Currier & Ives eksportuje swe litografie do szeregu krajów europejskich, przy czym — rzecz ciekawa — Francuzi najczęściej zakupywali obrazków humorystycznych, a także sporo litografii o tematyce morskiej. Niemcy natomiast i Anglicy przekładali nad nie sceny z Dzikiego Zachodu i w ogóle tematykę „malowniczej Ameryki”.

Przez 50 lat nowojorska firma litograficzna produkowała po 3 nowe obrazy tygodniowo. Aby temu podołać zatrudniano tu 6 artystów-grafików i 12 kolorystów płatnych od sztuki. Wśród litografów panowała specjalizacja. Byli tu więc np. specjaliści od scen zimowych, od koni, od statków i ...od scen z życia rewolwerowców. Jedną z najzdolniejszych pracownic firmy była litografka Fanny Palmer. Ona to właśnie jest autorką reproduktowanego obok „Przejęcia emigrantów przez Góry Skaliste”, opublikowanego po raz pierwszy w roku 1866.

Wśród amerykańskich kolekcjonerów litografie Curriera są obecnie niezmiernie poszukiwanymi okazami, a ich zbiór w nowojorskim muzeum miejskim sięga swą wartością sporę fortuny.

Dziś, kiedy fotografia całkowicie wyparła już dawno staro-

świeckie litografie, spoglądamy na te obrazki z niemalym sentymentem. Ale nie tylko na ładunku sentymentalnych wspomnień polega ich wartość. Dziewiętnastowieczne litografie przekazały mnóstwo scen i widoków z Ameryki i Europy ubiegłego wieku, jedynych w swoim rodzaju. Gdyby nie litografia, to np. nie wiele wiedzielibyśmy dziś o wyglądzie szeregu naszych, polskich miasteczek, zniszczonych później przez wojny i pożary. Po za tym pamiętajmy, że litografie dziewiętnastowieczne, to istna kopalnia scen rodzajowych z okresu, kiedy odpowiednia dokumentacja fotograficzna była nie do pomyślenia. Któż bowiem w tych czasach poszukującej fotografii usiłował robić zdjęcia np. na wiejskich jarmarkach, przed pocztowymi zajazdami lub w zaułkach prowincjonalnych miasteczek? (LZ)

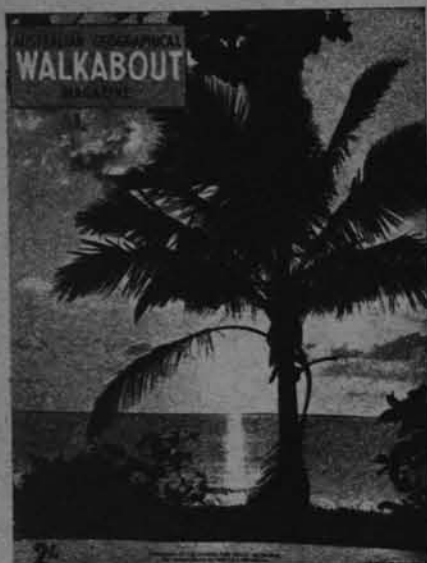
Litografia jest rodzajem techniki graficznej. Na zeszlifowanej płycie wapiennej grafik rysuje tłustą kredką lub tuszem. Pozostałe partie powierzchni płyty nadtrawia się kwasem, a następnie zwilża wodą. Nanoszona za pomocą wałka farba osadza się tylko na powierzchniach pokrytych kredką lub tuszem. Z płyty takiej za pomocą prasy odbija się znaczna ilość egzemplarzy rysunku. Litografia różniła się od drzeworytu i stalorytu bardziej „fotograficznym” oddaniem obrazu. W wypadku litografii kolorowej stosowano kilka płyt kamiennych, nakładając kolejno odbijane arkusze.



Litografia Hipolita Lipińskiego przedstawiająca Cygana z niedźwiedziem na rynku podkarpackiego miasteczka. U dołu: Amerykańska litografia z Dzikiego Zachodu. Przejęcie karawany przez Góry Skaliste.



KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ



WALKABOUT

„Tytuł „Walkabout” ma stare tradycje i nawiązuje do wiecznej włóczęgi dawnych tubylców australijskich. Podobnie jak niegdys oni, tak dziś „Walkabout” co miesiąc rusza w podróż — piórem i fotografią — poprzez Australię i wyspy południowo-zachodniego Pacyfiku.

Tymi mniej więcej słowy rozpoczyna się każdy numer australijskiego magazynu geograficznego „Walkabout”, wydawanego co miesiąc w Melbourne¹. Wystarczy przejrzeć kilka numerów tego czasopisma, by w pełni uzmysłwić sobie nikłość wiedzy przeciętnego mieszkańca Polski o tym kraju. Nie chodzi mi o popularne osobliwości geograficzno-etnograficzne, które na ogół pamiętamy z lekcji geografii. Powszechnie wiadomo, że Australia to ojczyzna pierwotnych dzikusów uganiających się z bumerangiem za niemniej od nich dziwnymi kangurami, dziobakami i tym podobnymi okazami egzotycznej fauny. Obawiam się nawet, że te fotografie nagich tubylców i niedźwiadków

drzewnych przesłaniają nam szereg bardziej istotnych faktów. Ot, choćby takich, że w ciągu niespełna 130 lat zbudowano na tym kontynencie zażadne, nowoczesne państwo liczące dziś wprawdzie zaledwie kilkanaście milionów ludzi, lecz swym potencjałem gospodarczym stojące w szeregu najpotężniejszych mocarstw. Jak do tego doszło? Jak dziś żyje biały mieszkaniec Australii? Jak wygląda specyfika jego dnia codziennego. Jakie oblicze ma zbudowana na tym odległym kontynencie cywilizacja typu europejskiego? Na szereg tego rodzaju pytań znajdujemy odpowiedź właśnie na łamach „Walkabout”. Wachlarz tematyczny jest tu dość obszerny, a treść artykułów niekiedy wręcz zaskakująca dla polskiego czytelnika. Cóż np. wiemy o początkach australijskiej poczty konnej, kursującej na bezludnych pustyniach w okresie „gorączki złota”? Lub o pracy i życiu australijskich pasterzy, pędzących co roku olbrzymie stada owiec? Obok migawek z życia pustynnych osad zachodniej Australii znajdujemy w „Walkabout” artykuły o wykopaliskach archeologicznych. Obok najnowszych wyników badań etnograficznych prowadzonych w głębi puszczy australijskiej Nowej Gwinej, czytamy o zbiorach muzeum nautologicznego w Adelaide i wspomnienia z czasów „podboju” archipelagów przez kupców i misjonarzy. Również zresztą bogato reprezentowana jest tematyka przyrodnicza. Dodatkową zaletą pisma są zamieszczone w nim liczne i niekiedy bardzo piękne zdjęcia. Autorami artykułów są specjaliści z rozmaitych dziedzin wiedzy, a forma podawanej treści jest przystępna i atrakcyjna. Należy natomiast żałować, że układ graficzny pisma jest dość mało urozmaicony i staroświecki, zaś technika druku nieefektywna. Pod tym względem górują nad australijskim magazynem wyraźnie takie np. miesięczniki geograficzno-krajoznawcze, jak amerykański „The National Geographic Magazine” czy „Natural History” lub angielski „Coming Events in Britain”².

¹ „Walkabout”, organ Australijskiego Towarzystwa Geograficznego wydawany przez Australian National Travel Association.

² Miesięcznik „Coming Events in Britain” omówiliśmy w grudniowym numerze ZIEMI z r. 1956, a numer lutowy z r. 1957 zawierał recenzję „Natural History”.



W masywnych corralach pośród kłębow kurzu uwijają się przez cały dzień australijscy kowboje.



Trudno mi pisać recenzję o *Tatrzańskim Orle*¹. Tak dziwne to pismo. Aby umożliwić czytelnikom przekazanie tych uczuć, jakie budzi lektura owego regionalnego, wybitnie krajoznawczego kwartalnika — trzeba by właściwie przedrukowywać całe strony. Są tu wspomnienia „O Dawnym Zakopanem”, notowane gwarą gądkli góralskie, jak np. „Jak se to Pisorów Maciek urodził z królym na warcie”, wiersze o tematyce tatrzańskie, wspomnienia o wybitnych postaciach polskiej góralszczyzny. Ale jeszcze nie to jest dziwne. Takie materiały drukowałyby każdy kwartalnik poświęcony góralszczyźnie, oczywiście gdyby w Polsce wychodził. Specjalny i dziwny charakter nadają pismu inne szczegóły. Oto np. w jednym z numerów podobizny znanych nam doskonale spinek i parzenic, takimi opatrzone

są podpisami: „Spinki (Bress Broches) made by A. Kubia Opacian — Ratułów” i „Parzenica, designed by Wojtek Gryzek in Witów 1920”. Te materiały drukowane po angielsku przeznaczone są dla tych górali, którzy już zapomnieli mowę ojczystą, ale jeszcze czują ową silną więź plemienną, która łączy ich w organizacji regionalnej — Związku Podhalan w Ameryce.

Związek ten założony w roku 1928 przy współudziale prof. Stefana Jarosza z Polski, rozrósł się w potężną organizację, skupiającą tysiące członków w kilkunastu kołach terenowych. Kolejni prezesi Związku, tzw. „bacowie, to H. Łokański, A. Dąbrowski, S. Janik, i (obecnie) — A. Rafacz. Związek przejawia niezwykłą żywotność. Strony *Tatrzańskiego Orła* pełne są opisów i wiadomości o różnych imprezach. A to

X Sejm Związku Podhalan, a to bankiety, pokazy tańców góralskich, widowiska regionalne, pokazy telewizyjne. Góralskie orkiestry, góralskie sklepy, „Góralski skład Mebli KWAK (Appliance and Furniture Store)”, nawet „motel”, którego „właścicielką” jest nasza rodaczka z Kłuszkowej, Karolina Wencel”. Telewizja nadaje audycje „Echa z Polski”, w których prezentuje widzom „słynną Grupę Górali Tatrzańskich z Passaic, kierowaną przez J. Gromadę”. W programie tańce, śpiewy, muzyka. Na wszystkich imprezach stroje góralskie w takich ilościach i w takim gatunku, że trudno ich tyle naraz zobaczyć gdziekolwiek na polskim Podhalu.

A na ostatnich stronach — małe notatki. Ze „na Podhalu lato było dość ładne i rok urodzajny”. Ze



Wydawca i redaktor „Tatrzańskiego Orła”, Jan W. Gromada, wiceprezes Związku Podhalan w Stanach Zjednoczonych, prezes Stow. Tatrzańskich Górali w Passaic, N. J., jedna z najczynniejszych postaci podhalańskiego ruchu regionalnego w Ameryce.

„dnia 1 listopada przyszła nagła zima. Śniegu spadło tak w Tatrach jak i na całym Podtatrzu i nizinnym Podhalu do pasa. Jeździmy już saniami”. Czy możecie sobie wyobrazić, co czują czytając te wzmianki Górale, którzy od lat kilkadziesiąt nie słyszeli dzwonek zimowej upręży, albo może nawet sanek nie widzieli na oczy?

Wiele myśli i wiele wniosków nasuwa lektura tego interesującego pisma. Za wiele jak na ramy krótkiej recenzji. Czym tu skończyć? Zyczyłoby należało naszym krajowym Podhalanom takiego przywiązania do regionu, do tradycji, jakie wykazują ich rodacy zza morza. A odradzającemu się Związkowi Podhalan w Polsce — czasopisma choć w części podobnego do „Tatrzańskiego Orła”. (PSB).

BABKA VEL GRUPA

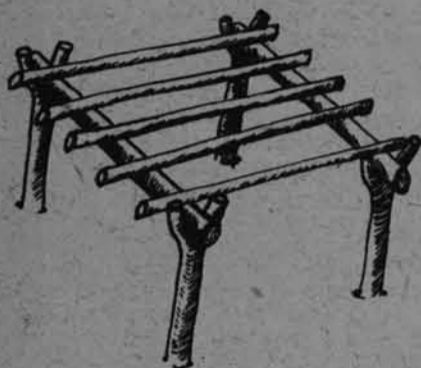
JANUSZ KAMOCKI

W pospolicie występujących jeszcze w II połowie XIX wieku, na całym prawie terenie Polski, chałupach dymnych¹ strawę gotowano w garnkach glinianych, postawionych na nalepie pieca. Stawiano je bądź wprost na nalepie, tak że ogień znajdował się dokoła garnka, grzejąc jego boki, bądź też — na żelaznym trójnogu, zwanym z niemiecka „drajfusem“ i wtedy ogień palący się między nóżkami trójnogu ogrzewał spód naczynia.

Na ślad interesującej odmiany w tym ostatnim sposobie gotowania, rodzimej i przypuszczalnie starszej od „drajfusa“, udało mi się natrafić w

chowaly się w Jeleniowie (pow. opatowski) pod nazwą „grupy“, zaś w Gnieszowicach (pow. sandomierski) znano je jako „babkę“. W obu wypadkach opowiadali mi o tym wieśniacy liczący około 90 lat. Należy więc sądzić, że na wyżej wspomnianych terenach ten typ rusztu występował jeszcze w latach 1870—5, prawdopodobnie jednak już wówczas stanowił rzadkość.

Konstrukcje drewniane, oblepiane gliną dla ochrony od ognia, są u nas znane od wieków, dotychczas jednak nie zanotowano zastosowania ich przy ruszcie, od dawna znany i używany np. przy suszeniu



Sandomierskiem i Górach Świętokrzyskich. Oto przechowała się tu pamięć o gotowaniu na tzw. „babce“. Przygotowywaną ją w następujący sposób: w glinę nalepy wbijano cztery soszki drewniane, a dłuższe boki powstałego w ten sposób prostokąta łączono ślimionkami. Na te z kolei kładziono kilka poprzeczek tworząc rodzaj rusztu leżącego na soszkach. Wszystkie części tej konstrukcji oblepiano gliną. Po wyschnięciu — podstawka była już gotowa do użytku; między soszkami rozpalano ogień, a na drabince ustawiano garnki. Wspomnienia o tego rodzaju podstawkach prze-

inu. Sam fakt wykorzystania rusztu dla ułatwienia sobie gotowania rzuca nowe światło na pomysłowość ludu polskiego.

Niestety, nie mamy informacji co do występowania „babek“ na innych terenach, wskazanym by więc było zainteresować tym zagadnieniem Koła Krajoznawcze.

¹ W chałupie dymnej dym zostaje odprowadzony przez otwór w powale, znajdujący się nad paleniskiem — na strych, w przeciwieństwie do kurnej, gdzie dym wydostawał się na zewnątrz przez drzwi.

Oddział miechowski PTTK, pod którego opieką znajduje się Muzeum Regionalne, projektuje uruchomienie działu etnograficznego. W związku z tym zamierzeniem zarząd PTTK w Miechowie apeluje do mieszkańców ziemi miechowskiej, aby składali w Zarządzie PTTK czy administracji muzeum dawne, obecnie ginące, narzędzia do uprawy roli, naczynia gospodarcze, rzemieślnicze, stroje regionalne, a także zbiory piosenek, zwyczajów, przysłów i wielu innych eksponatów dawnej kultury, obrazujących wiernie życie w dawnej wsi miechowskiej. Za cenniejsze eksponaty, właściciele otrzymają zapłatę. St. Książek

DOKOŃCZENIE ZE STR. 24

Pozwolę sobie być innego zdania. Poza tym zatrzymam się na sformułowaniu autora „mam odwagę domagać się“. Rzeczywiście odwaga! Domagać się, by Polska dobrowolnie kontynuowała dzieło germanizacji ziem, przywróconych jej przez dziejowe przemiany. Zgadzam się z autorem, że wskrzeszenie tych niedawnych, a więc niemieckich tradycji w naszym Polscie nie może zaszkodzić. Ale za to może pomóc komuś, komu chyba nie chce pomóc autor, podpisany polskim nazwiskiem.

A teraz już tylko o tytułowym nur-

cie wywodów autora, czyli o potrzebie tradycji — oczywiście od strony jej użyteczności. Z tym właściwie można rozprawić się krótko: gdyby dla obcego, dla przybysza, miejscowa obca tradycja łatwa była do przyjęcia, nie istniałoby w ogóle schorzenie, występujące w skali ogólnoswiatowej: nostalgia. Każdy kraj na świecie posiada bogate i piękne tradycje. A jednak wszędzie tęskni się za... Myślnicami, Miechowem, Sandomierzem, nawet Łodzią, chociaż ta ostatnia nie posiada ani tradycji, ani urody.

Tradycja nie jest artykułem pierwszej potrzeby. Nie jest w ogóle warto-



DWA PIECE

W numerze 11/1957 „Ziemi“ A. Łaszczynski opisuje XIX-wieczny piec kaflowy w Krzyszkowicach na Podkarpaciu. Załączone zdjęcie wskazuje na podobieństwo jego do innego zabytku — pieca we dworze w Rybieniu pod Warszawą (pow. Wyszków). Podobieństwo to jest widoczne zarówno w ogólnym charakterze, jak i w motywach zdobniczych poszczególnych kafli. Piec w Rybieniu znajduje się w klasycystycznym dworze Skarżyńskich, po-

chodzącym z XVII stulecia. We dworze tym zachowała się m. in. XVIII-wieczna polichromia (fragment jej — widoczny na załączonym zdjęciu). Piec jest niewątpliwie późniejszy — XIX-wieczny

Ciekawe, czy tego typu pieców zachowało się więcej, jaki jest ich zasięg terytorialny i skąd pochodzą kafle, wydaje się bowiem, że musiały one wyjść z jednego warsztatu.

Jan Szulc

RZECZYWISTOŚĆ CONTRA TRADYCJA

ścią świadomą. By ją kochać i potrzebować jej do życia (oczywiście podświadomie), trzeba wychowywać się w niej. Nasze młode pokolenie nawet bez tradycji będzie się czuło na Ziemiach Zachodnich „u siebie“, ale człowiek dojrzały bardzo ciężko przechodzi konieczną aklimatyzację. A tradycja obca może drogą kontrastu, czy nawet analogii, tylko wzmacniać tęsknotę do tych nieokreślonych a jedynych wartości, pozostawionych np. w jakiejś Kaczorówce czy Psiej Wólce, gdzie nie stał nigdy żaden zabytek.

I tylko wielkie szczęście osobiste mo-

że przyciszyć ten tak uparty głos. Niedługo, już dawno, zetknęłam się z wierszem o takiej m.in. strofie:

Tęsknota piekła jak rana,
więc wracać pragnął — rzecz
prostą.

Lecz oto pewnego rana
ujrzał dziewczynę... I został.

Według recepty autora felietonu, zakończenie czterowiersza powinno być brzmiące:

„ujrzał... zabytek. I został.“

MARIA HESSEL

GEOGRAFIA JĘZYKOWA

Mały atlas gwar polskich¹ jest wydawaniem, które powinno zainteresować każdego miłośnika folkloru odczynnego. Opracowuje go od paru lat krakowski Zakład Językoznawstwa Polskiej Akademii Nauk pod kierunkiem czołowego polskiego dialektologa prof. Kazimierza Nitscha. W grudniu 1957 r. wyszedł tom I, dalsze mają się ukazywać co rok. Całość obliczona jest na dziesięć do dwunastu tomów.

Coż to są mapy gwar? Dość łatwo można sobie wyobrazić jedną mapę, która by przedstawiała podział Polski na główne krainy etnograficzne, którym — jak wiadomo — odpowiadają też pewne odrębne dialekty, a więc na Śląsk, Małopolskę, Wielkopolskę, Mazowsze i Pomorze, ale całe serie map językowych? — to rzeczywiście wymaga jakiegoś zasadniczego wyjaśnienia.

Przed wszystkim należy wyłuszczyć tytuł. „Atlas gwar polskich” nie oznacza zbioru map, z których każda przedstawiałaby gwary polskie jako całości, bo takie graficzne zestawienie, zresztą w szczególności bynajmniej niełatwe, rzeczywiście sprawdziłoby się do jednej lub najwyższej paru map, ale jest zespołem map różnych zjawisk językowych, które w gwarach polskich są zróżnicowane geograficznie. Każdy Polak zna — choćby ze środowisk miejskich, bo i one są powiązane z otaczającymi je gwarami ludowymi — przynajmniej parę takich zróżnicowanych wyrazów, form gramatycznych lub cech wymowy. Wiemy np., że w Poznaniu mówi się *pyrki*, a w Czarnym Dunaju *grule*, że w Warszawie siada się na brzegu ławki, a w Krakowie na kraju, że w Warszawie się mówi trzeba coś *obstać*, a w Krakowie — *czeba* coś zamówić, w Warszawie kupuje się *salceson* i *stoninę*, w Krakowie *głowiznę* i *bił*, że na Kurpiach pije

się *psiuwo*, nie *piwo*, że na Śląsku „zamiast” tu mówi się *sam*, że gdzieś tam na wsi słyszy się *gamba*, a gdzie indziej *gymba*... Otóż takie właśnie zróżnicowania obyczaju językowego są przedmiotem map językowych, a że nie są to rzeczy co do swojego układu przypadkowe, więc mapy poszczególnych wyrazów i form gwarowych składają się w sumie na atlas gwar, dając obraz geografii języka polskiego.

Użyty tu termin „geografia językowa” nie jest ukuty dla dorozbieżnego zastosowania. Jest to ogólnie przyjęta nazwa, oznaczająca gałąź językoznawstwa, która jest już uprawiana od lat kilkudziesięciu i ma swój poważny dorobek w postaci wielu studiów i atlasów lingwistycznych. Około r. 1880 powstał niemiecki atlas Wenkera, na progu XX w. słynny „Atlas linguistique de la France” Gilliérona i Edmunda, za nimi poszły inne, przede wszystkim w krajach romańskich. Dziś prawie wszędzie w świecie opracowuje się atlasy zespołów wielojęzykowych, a tu i ówdzie projektuje się już i atlasy poszczególnych języków, a tu i ówdzie projektuje się już i atlasy zespołów wielojęzykowych. Słowiańszczyzna była w tym zakresie nieco spóźniona, Polska jednak mniej od innych. W r. 1918 w krakowskim Roczniku Sławiścieżnym ukazało się 90-stronicowe studium K. Nitscha pt. „Z geografii wyrazów polskich” z licznymi malutkimi ale bardzo wyrazistymi mapkami, a w r. 1934 K. Nitsch i M. Małecki opracowali i wydali pierwszy na gruncie słowiańskim atlas językowy, a mianowicie „Atlas językowy polskiego Podkarpacia”, składający się z 500 map i niewielkiego tomu z objaśnieniami. Dziś prawie we wszystkich krajach słowiańskich pracuje się nad atlasami językowymi i dwa pierwsze z nich jednocześnie zaczęły się ukazywać: nasz „Mały atlas” i opracowywany w Moskwie ogromny i bardzo szczegółowy atlas gwar wielkoruskich.

Jak się takie atlasy opracowuje? Ustala się dla badania terenu regularną sieć równo od siebie oddalonych (np. co 20 albo co 50 km) wsi oraz układa się tzw. kwestionariusz, tzn.

zestaw pytań o różne zagadnienia językowe, co do których wiadomo lub się przypuszcza, że będą na tym terenie zróżnicowane, i cały ten kwestionariusz we wszystkich tych wybranych wsiach się odpytuje. Użytkany w ten sposób materiał łączy się potem według zagadnień i poszczególne zagadnienia przedstawia się na mapach.

Mapy opracowuje się rozmaicie. Zazwyczaj każdy atlas obiera sobie raz na zawsze jeden sposób przedstawienia materiału, w naszym jednak wydawnictwie stosuje się sposoby różne, dobierając dla każdego zagadnienia taką technikę, która najlepiej, tzn. najwierniej i zarazem najprzejrzyściej, pozwoli je przedstawić. Przy zagadnieniach, które wyraźnie dzielą Polskę na kilka wewnętrznie jednolitych obszarów, każdy z tych obszarów zamalowuje się w całości jakimś kolorem, co daje w efekcie mapę podobną do mapy administracyjnej z różnokolorowymi województwami. Taka jest np. mapa różnych nazw gontów. Małopolska, większa część Mazowsza i kresy wschodnie mają wspólną (i zgodną z językiem literackim) nazwę *gonty*, więc stanowią jedną wielką plamę, północne Mazowsze ma *klenieć* — inna plama, Wielkopolska *szkudły* — znowu inna, Śląsk *szędzioty*, Mazury i Warmia *szynde* — znowu dwie inne, ale uymyślnie do siebie podobne, bo to nazwy pokrewne, pochodzące od tego samego niemieckiego wyrazu. Gdy odpowiedzi nie układają się w takie zwarte obszary, ale są przemieszane lub choćby tylko się terytorialnie zacierają, dla każdej z nich ustala się symboliczny znak, np. kolorowy krąg, trójkąt lub kwadracik i w punktach oznaczających poszczególne wsi stawia się odpowiednie znaki. — Gdy zróżnicowanie odpowiedzi idzie tak daleko, że trudno by je było sprawdzić do kilkunastu czy nawet 20, 30 znaków, wtedy w każdym punkcie po prostu wpisuje się na mapie zanotowaną w danej wsi odpowiedź, z tym jednak że odpowiedzi pokrewne zapisuje się tym samym kolorem, żeby czytelnikowi ułatwić orientację. To główne sposoby. Prócz nich są różne dodatkowe, których się używa, by więcej czytelnikowi powie-

dzieć, a zarazem uczynić mapę jak najprzejrzystszą. W rezultacie jest „Mały atlas” graficznie urozmaicony i bardzo przystępny.

Ogłoszony I tom obejmuje 50 map, z czego 9 dotyczy nazw różnych części domu, 9 — pluga, 20 — części wozu, a 11 — w wymowy wyrazów ze staropolskimi grupami spółgłoskowymi *szr* *zr*, takich jak *środa*, *źródło*, *szron*, *srebro*, *obejrzeć* (staropolskie *szroda*, w gwarach — zależnie od okolicy — *szroda*, *chrzoda*, *szoda*, *rsioda*)... Prócz tego na uwagę zasługuje znajdująca się tam mapa głównych historycznych dzielnic Polski (Małopolska, Wielkopolska, Kujawy...) z ich średnowiecznymi granicami. Ma ona ułatwiać orientację w dzisiejszych układach zjawisk gwarowych, które to układy często wykazują uderzającą zgodność właśnie z tymi granicami sprzed wielu stuleci, co dużo mówi o chronologii poszczególnych zjawisk językowych i wskazuje na ich związki z dawną historią polityczną, gospodarczą i kulturalną naszego kraju. Kogo ta przeszłość interesuje, choćby nie miał specjalnych zainteresowań językowych, na pewno znajdzie dla siebie w „Atlasie” lekturę ciekawą i pożyteczną.

Na zakończenie krótka informacja. Omawiany atlas nazwano „Małym”, gdyż obejmuje on tylko 500 do 600 map i podaje materiał zaledwie z około 200 punktów terenowych, gdy często atlasy takie mają po parę tysięcy punktów i zagadnień. Zaplanowany jest jednak i „Wielki atlas gwar polskich”, nad którym prace mają się rozpocząć w najbliższym czasie, prócz tego zaś już dzisiaj jest w opracowaniu kilku atlasów regionalnych: kaszubski, Warmii i Mazur, kielecki i lubelski, które w niejednym temie wielkemu pracę przygotowują i ułatwią.

¹ Mały atlas gwar polskich, tom I: Mapy 1—50 i 2 mapy pomocnicze, część II: Wstęp do całości, wykazy i komentarze do map 1—50, Wrocław-Kraków 1957.

ZOFIA STAMIROWSKA

We Wrocławiu w trakcie prowadzonych robót budowlanych w rejonie wrocławskiego Rynku, robotnicy zatrudnieni przy wykopie fundamentów, natrafili na garnek gliniany ze znaczną ilością starych monet. Były to monety — jak stwierdzono — rzymskie, bite w spłzu, pochodzące z II w. n.e. Niestety większość monet uległa zniszczeniu wskutek przeprowadzanych na nich przez robotników nie doceniających znaczenia znaleziska „próbnych badań”. Sądzą bowiem, że są to stare monety złote.

Ukazały się już cztery numery kwartalnika TATERNIK, czasopisma Klubu Wysokogórskiego, poświęconego sprawom polskiego taternictwa, taternictwa jaskiniowego i alpinizmu światowego. Luksusowo jak na nasze warunki wydane, doskonale ilustrowane zeszyty Taternika przyniosą artykuły monograficzne o górach całego świata, wspomnienia i opisy przeżytych uczestników wypraw, dzieje zdobycia gór z uwzględnieniem ostatnich wydarzeń. Cena tylko 10 zł. Adres administracji — Kraków, pl. Wiosny Ludów 8.

DROBIAZGI

Związek Radziecki przekazał ostatnio Państwowemu Archiwum w Gdańsku materiały archiwalne dotyczące historii Gdańska z okresu XVI i XVIII wieku oraz Wolnego Miasta Gdańska.

DROBIAZGI

Jak wykazały ostatnie obliczenia przeprowadzone na terenie Puszczy Białowieskiej, żyje tam około 250 jeleni, tyleż dzików oraz około 400 sarn. Poza tym mają tutaj swoją siedzibę coraz rzodsze u nas guszcze, których żyje w puszczy około 35 sztuk. Grasują tu również groźne drapieżniki, żyje tu około 14 wilków i 36 rysów.

Wśród wielu listów czytelników znalazł się na kolportaż „ZIEMI” otrzymaniśmy taki zabawny wierszyk:

Oj, „Ziemio”, ty „Ziemio” sieroto i srebro jest w tobie i złoto...
wszystkiego jest w tobie dość; przebac, jeno cię gdzieś... dostać potrzeba.

Czy srogi to wyrok jest boski, że Śląskie nie mają cię kioski?
że nie ma cię także wybrzeże? Ja w bogów i w fatum — nie wierzę,

bo wieść mi dotarła do sluchu, że być winna wszędzie ach, w „Ruchu”;
Ruch taki niech ziemia pochlonie; Nie więcej nie dodam już. Koniec.
wg Kononickiej

„Ziemianin”.
Na poważne wady kolportażu „Ziemi” wskazał również uczestnicy spotkania redakcji i czytelników Śląska w Gliwicach.

Abymy mogli współpracować z „Ruchem”, korygując rozdzielniki — prosimy o wiadomość, gdzie (miejscowość, nr kiosku) trudno jest nabyć „Ziemię”. Dotychczas bowiem w wielu ekspozyturach „Ruchu” nadchodzą zwroty, stanowiące nieraz kilkadziesiąt procent ilości egzemplarzy wysłanych — jednocześnie z listami czytelników, którzy nie zdążyli kupić „Ziemi”.

Listy w tej sprawie prosimy opatrzyć na kopercie napisem „Kolportaż”.

W Belgii, w Gandawie, otwarta zostanie w czerwcu br. wystawa pt. „Złoty wiek wielkich miast”, mająca przedstawić najświetniejszy okres w historii miasta w dziedzinie kultury, nauk itp. Jako jedyne w Polsce miasto zostało zaproszone do wzięcia udziału w wystawie — Kraków.

W celu ożywienia turystyki na terenie Pomorza projektuje się do roku 1960 wybudowanie na wybrzeżu koszańskim 8 obozowisk campingowych, hotelu turystycznego w Mielnie, budowę przystani dla łodzi spacerowych i żaglowych.

DROBIAZGI

W związku z 1000-leciem istnienia Państwa Polskiego powstała już tymczasowa komisja międzyresortowa dla koordynacji wstępnych przygotowań do obchodów, które zaczną się w 1960 r. i trwać będą do roku 1966. Projekt obchodów przewiduje m. in. zorganizowanie wystawy sztuki przedromańskiej i romańskiej na ziemiach polskich, wystawy p. n. „Początki Państwa Polskiego” i wystawy pamiątek państwowości polskiej. Przewiduje się także zorganizowanie sesji naukowej PAN, zintensyfikowanie badań wykopaliskowych i podjęcie specjalnej akcji wydawniczej.

Jubileusz 1000-lecia istnienia obchodzić będzie wkrótce Krosno Odrzańskie w woj. zielonogórskim. Na miesiąc dzisiejszego miasta istniała dość duża osada słowiańska, której mieszkańcy zajmowali się połowem ryb. Obecnie prowadzone są badania w kierunku ustalenia dokładnych dat oraz stwierdzenia, kiedy i w jakich warunkach Krosno Odrzańskie otrzymało prawo miejskie.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

Studia i materiały z Dziejów Śląska. (Wyd. 1.)
Red. Kazimierz Popiołek. T. 1. — Wrocław 1957. Zakład Narod. im. Ossolińskich. Wydawn. PAN, cm 24,5x17,5, s. 393, 2 nrb., rys., bibliogr. poz. 379.

Polska Akademia Nauk Instytut Historii, Zakład Historii Śląska. — M. in.: Biały F.: Materiały do bibliografii zagadnień narodowościowych na Śląsku w okresie międzywojennym 21 175. —

Walter Mieczysław
Z dziejów polskości klasztoru cysterek w Trzebnicy w latach 1559—1741. — Wrocław 1957. B-ka Uniwersytecka, cm 24x17,5, s. 115, Zef. Uzup. odb.: [Historia. Z.] Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Wrocławskiego. Seria A nr 8. — Tyt. Wstępny: Polskość klasztoru cysterek w Trzebnicy.

Muzeum Przyrodnicze Wielkopolskiego Parku Narodowego w Puszczykowie pod Poznaniem, otrzymało ostatnio wiadomość z Genui, że została tam zabita sikorka-bogatka, posiadająca obrączkę założoną ub. roku w stacji ornitologicznej pod Poznaniem. Jak dotąd, w rocznikach ornitologicznych nie notowano faktu pojawienia się w krajach południowych sikorki-bogatki, odlatującej przed zimą z kraju, gdzie stale przebywa.

DROBIAZGI

Projektuje się, aby w Szczecinku zlokalizować duży ośrodek turystyczny w zabytkowym zamku po jego odremontowaniu. Centralne położenie Szczecinka, gdzie skupiają się piesze, kolarskie i wodne szlaki turystyczne, stwarza nowemu ośrodkowi szerokie perspektywy rozwojowe.



Z dawnego ratusza, wzniesionego ok. 1958 r. pośrodku rynku w Oławie — zachowała się do naszych czasów okazała wieża, w dolnej partii czworoboczna, przechodząca w górnych kondygnacjach w ośmiobok. Wieżę tę wieńczy późnobarokowy baniasty hełm z podwójną przezroczą latarnią.

Niewątpliwą jednak osobliwość stanowi zegar znajdujący się na wieży, który wykonany został około roku 1718 — jak chce tradycja — przez trzech zegarmistrzów, których zwano: Sallat, Kraut i Riebe (Sałata, Kapusta i Rzepa). Zegar ten, oprócz tarcz skierowanych na cztery strony świata posiadał połączone z mechanizmem symboliczne figurki. I tak, znajdował się tam „Władca czasu” poruszający co godzinę ustami i berłem, kura z kogutem, wprawiane w ruch również co godzinę, księżyc, wreszcie kościotrup, poruszający kosą przy każdym wybiściu kwadransa. Kościotrup ten, stanowił od dawna atrakcję miasta i zwany był tradycyjnie „śmiercią oławską”.

Mimo, iż zegar w ciągu wieków uległ różnym zmianom, kościotrup zachował się do dziś i nadal znajduje się w „ruchu”.

ŚMIERĆ OŁAWSKA



SABENA NA O POLSKIE CE

Tak się jakoś dziwnie składa, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy propagują nasz kraj bardzo intensywnie i przy użyciu najnowocześniejszych środków reklamy — cudzoziemcy. Mam na myśli holenderskie i belgijskie firmy lotnicze, „KLM” i „Sabena”. Zarówno Holendrzy jak i Belgowie czynią to po prostu we własnym dobrze zrozumiałym interesie. Zależy im przecież na tym by nowootwartymi liniami pasażerskimi do Polski, obsługiwany przez ich samoloty, latało jak najwięcej osób. W ten sposób reklamują oni i inne kraje, z którymi utrzymują komunikację lotniczą. Nas jednak ciekawi forma, w jakiej to robią. Obserwując ich akcję reklamową możemy spojrzeć na Polskę oczami cudzoziemca, który stara się zachęcić innych obcokrajowców do odwiedzenia naszego kraju. Co zatem jego zdaniem godne jest u nas obejrzenia?

„Sabena” poświęciła Polsce cały jesienny numer swego wydawnictwa reklamowego „Sabena Revue”. Jest to rodzaj albumu składającego się z dwu części. W pierwszej obok zdjęć luksusowych samolotów i helikopterów (kursujących na trasie Paryż — Bruksela) zamieszczono nieco informacji reklamowych, dotyczących „Sabeny”. Część druga, obszerniejsza, poświęcona jest Polsce. Stanowi ona zbiór zdjęć (w tym również barwnych) z polskich miast i wsi, opatrzonych podpisami w trzech językach. Całość uzupełnia napisany po francusku komentarz o historii Polski, jej kulturze i kontaktach tej kultury z Zachodem. Autorem zdjęć jest przedstawiciel „Sabeny” p. Gus Pon-

cin. Wykonując fotografie dla swego wydawnictwa reklamowego, sięgnął on do regionalnej tematyki, słusznie mniemając, że to właśnie ona najłatwiej przyciągnie do Polski chiwego „egzotyki” zachodnioeuropejskiego turystę. Toteż nie znajdziemy w albumie „Sabeny” ani fotografii hut i elektrowni, ani wzorowych osiedli wiejskich. Znajdziemy tu natomiast barwne stroje wieśniaków łowickich i górali, malownicze zaułki Warszawy i Gdańska (i to jak sfotografowane!) zabytki średniowiecznej i renesansowej sztuki kowalskiej, rzeźby ludowe, artystyczne zabawki czy wreszcie migawki z rezerwatu w Białowieży.

Mógłby ktoś wysunąć zastrzeżenia, że w „Sabena Revue” znalazły się znowu te same motywy polskiej „egzotyki”, które pokazujemy cudzoziemcom od lat, że album tematycznie jest mało oryginalny. Ale trudno żądać od obcokrajowców, by wyszukiwali nowe motywy regionalne do swego wydawnictwa, skoro przez wiele lat nie dostrzegali ich wydawcy polskich albumów tego typu, uparczywie fotografując symbolicznych tańczących górali na tle Giewontu i tradycyjne żubry. Przy tym Belgowie sfotografowali Polskę w niezwykle oryginalny sposób, czego nie da się powiedzieć o wielu naszych wydawnictwach albumowych.

Jednakże przeglądając „Sabena Revue” mimo woli zaczynamy się trochę obawiać, czy cudzoziemski turysta, przybywając do nas po obejrzeniu atrakcyjnych fotografii p. Poncin — nie dozna pewnego zawodu. (L)



Odbudowana pierzeja warszawskiego Starego Rynku oglądana przez szyby jednej z kamieniczek. Fot. Gus Poncin

W NASTĘPNYM
NUMERZE



O ZMIANACH KLIMATU
NA
NASZEJ PLANECIE



O ZJAWISKU PĘKANIA WYSYCHAJĄCEGO BŁOTA

FOT. JANUSZ CZECZ

O NAJ
STAR
SZYM
DZIAŁE
POLS
KIM
W
ZBIO
RACH
WA
WĘLS
KICH



O BOK
DZIAŁO
REGIMEN
TOWE
1635

FOT. W. GOTTFALD